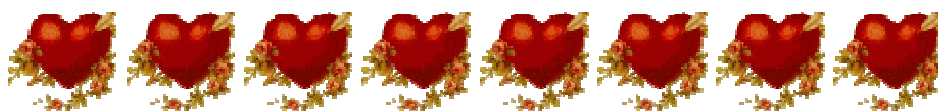




Lucy Gordon



Próba uczuć

PROLOG

Była czwarta po południu. Za kilka chwil miała się rozpocząć uroczystość z okazji urodzin signory Rinucci. W stronę położonej na zboczu wzgórza willi, z którego roztaczał się przepiękny widok na Zatokę Neapolitańską, sunął sznur czarnych limuzyn. Na tarasie okalającym dom stoły uginały się od wyśmienitych przekąsek. Czego tam nie było! Najlepsze neapolitańskie spaghetti, aromatyczne owoce dojrzewające na żyznych glebach Wezuwiusza i wspaniałe, rodzime wino. Prawdziwa uczta bogów.

Ponad wzgórzem, po błękitnym niebie przepływały od czasu do czasu małe, pierzaste baranki, które odbijały się w morskich falach rozświetlanych przez promienie popołudniowego słońca.

- Lepszego dnia nie mogliśmy wybrać - uścisnął żonę Toni Rinucci.

Stali przytuleni na tarasie i spoglądali w dół w stronę morza. On był niskim, krzepkim mężczyzną po sześćdziesiątce, miał szpakowate włosy i ogorzałą słońcem, pogodną twarz. Jak zwykle, kiedy patrzył na żonę, jego oczy przepełnione były czułością.

Ona skończyła właśnie pięćdziesiąt cztery lata, ale wyglądała zdecydowanie młodziej. Była dziewczęcą szczupłą, pełną wdzięku i elegancji, które, dzięki małżeństwu z bogatym mężczyzną uwielbiającym wydawać na nią pieniądze, mogły manifestować się w całej krasie. Jej twarz, mimo że naznaczona już trochę upływem lat, nadal zachowała urodę, choć może trudno byłoby nazwać ją piękną.

Miała duży, lekko spłaszczony nos świadczący o sile charakteru i stanowczości, a uśmiech szerokich, wydatnych ust przyprawiał wielu mężczyzn o drzenie serca. Z takim właśnie uśmiechem zwróciła się do męża:

- Twój prezent jest, jak co roku zresztą, najpiękniejszy. -

Mówiąc to, pieściła delikatnie w dłoni diamentowy naszyjnik.

- Ale nie takiego prezentu pragnęłaś najbardziej, prawda? - spytał cicho Toni. - Nic nie mów, dobrze to rozumiem...

- To już przecież przeszłość, mój drogi Toni, dawno przestałam o tym myśleć.

Wiedział, że to nieprawda. Tajemnica, którą dzielili od trzydziestu lat swego małżeństwa, wciąż wywierała piętno na ich życiu. Nie chciała go ranić, mówiąc, że nie jest w pełni szczęśliwa, a on jak zwykle udawał, że wierzy jej słowom.

W drzwiach prowadzących z domu na taras pojawiło się dwóch młodych mężczyzn. Luke, ten silniej zbudowany, uśmiechnął się szeroko na widok czule obejmującej się pary i powiedział:

- Hej, gołąbeczki, nie ma czasu na czułości, bo już za chwilę zjawią się tu goście.

- Więc odeślij ich wszystkich - odparł zapatrzony w żonę Toni.

Drugi z mężczyzn, Primo, wysoki, o lśniących oczach i swobodnym stylu bycia, jakże typowym dla neapolitańczyków, potrząsnął głową w udawanej desperacji i zwrócił się do brata:

- Są niepoprawni. Może zostawimy ich samych, a wszystkich gości zabierzemy do nocnego klubu?

- Co takiego? I tak już za dużo czasu spędzasz w nocnych klubach - powiedziała Hope, po czym podeszła do niego i pocałowała w policzek

- Mężczyzna potrzebuje trochę niewinnej zabawy. - Uśmiechnął się łobuzersko. Był poważnym, solidnym biznesmenem, jednak potrafił korzystać z uroków życia.

- Hm... - Stała i przyjrzała mu się z czułością. - Lepiej nie będę się wypowiadać na temat twojej niewinności.

- Całe szczęście - odetchnął z miną winowajcy. - Dostatecznie często mówiłaś mi to wcześniej. Ale cóż, nie da się ukryć, że jestem beznadziejnym przypadkiem, więc lepiej się mnie wyrzeknij.

- Nigdy nie wyrzeknę się mojego syna. Żadnego z moich synów - dodała łagodnie.

Na moment zapadła cisza. Primo i Luke wymienili spojrzenia. Dobrze rozumieli ukryte znaczenie słów matki.

- Pewnego dnia, mamusiu - powiedział cicho Primo - na pewno tu się zjawi, czuję to w głębi serca, choć nie wiem, kiedy się to stanie.

- Nie umrę, póki nie przyjedzie tu do mnie.

Toni, słysząc ostatnie słowa żony, przytulił ją i powiedział najłagodniej, jak potrafił:

- Moja droga, nie myśl dziś o smutkach.

- Ależ wcale nie jestem smutna. Wiem, że mój syn kiedyś mnie wreszcie odnajdzie i wtedy będę najszczęśliwszą kobietą na świecie...

Ach, jak to miło, że już jesteście! - Hope powitała promiennym

uśmiechem trzech młodych mężczyzn, których twarze wskazywały na rodzinne podobieństwo.

- Mamo, spójrz tylko, kto przyszedł! - zawołał do niej Francesco, który uważał się za ulubieńca matki.

Zdumiewające, ale każdy z braci uważał się za jej ulubieńca. Pozostała dwójka to bliźniacy Ruggiero i Carlo, których urodziła Toniemu. Mieli po dwadzieścia osiem lat i byli najmłodsi z rodzeństwa. Obaj zabójczo przystojni, podobni, ale nie identyczni, otwarci na świat, a w szczególności na różnego rodzaju spotkania towarzyskie. A to przyjęcie zapowiadało się po prostu fantastycznie!

W gasnącym świetle mijającego dnia ciemnoczerwone słońce zapadło się właśnie w wodach zatoki. W willi Rinuccich zapalono wszystkie światła, a spływający ze wzgórza strumień gości wlewał się do wnętrza domu, aby uczcić pięćdziesiąte czwarte urodziny Hope. Zjawily się chyba wszystkie co ważniejsze osobistości Neapolu, wpływowi przyjaciele z Rzymu, a także z odległego Mediolanu. Rodzina Rinuccich należała bowiem do najznamienitszych włoskich rodzin i posiadała szerokie koneksje zarówno w świecie biznesu, jak i polityki.

Kobieta, na cześć której odbywało się przyjęcie, pomimo trzydziestu lat spędzonych we Włoszech, nadal czuła się Angielką. Nikt tu jednak nie traktował jej jak obcej. Była największym skarbem nie tylko dla swego męża, ale także dla pięciu mężczyzn, których nazywała swoimi synami. W rzeczywistości jednak urodziła tylko trzech z nich, choć wszyscy zwracali się do niej mamó. Wszyscy też

prezentowali się znakomicie, odznaczali się przy tym dumą i nieuświadomioną wyniosłością, co było dziedziczną cechą Rinuccich.

Przez cały wieczór czarująca Hope krążyła pomiędzy gośćmi niczym królowa między poddanymi, przyjmując z gracją piękne podarki i wyrazy uznania.

Większość gości szczerze lubiła, a nawet wielbiła Hope za wdzięk, urodę, mądrość i charakter, byli jednak i tacy, którzy poznali jej bezwzględność. Lecz nawet wrogowie stawili się na jej urodzinowe przyjęcie.

Luke z kwaśnym uśmiechem szepnął Primowi, że wrogów matki łatwo rozpoznać po najdroższych prezentach i szczególnie wyszukanych komplementach.

Kiedy uroczystość dobiegła końca, obsługa zajęła się uprzątnięciem stołów, a mieszkańcy domu mogli wreszcie zrelaksować się we własnym gronie.

- Uff, jaka przyjemna cisza - powiedział Primo, nalewając sobie whisky. - Mogę ci coś podać, mamó? Mamó? - powtórzył.

Lecz Hope myślami była bardzo daleko.

- Czy nie mogłabyś choć dziś o nim zapomnieć? - westchnął Primo.

- Właśnie dziś myśli o nim najmocniej - szepnął Luke. - Pamiętaj, że on także ma dzisiaj urodziny.

- Dlaczego my jej nie wystarczamy? - dodał Carlo z cieniem smutku w głosie.

- Ponieważ ma sześciu synów. Wami się cieszy, lecz wciąż płacze nad tym utraconym - wyjaśnił ojciec. - Całym sercem jednak wierzy, że kiedyś go odzyska.

- Sądziś, że jej się uda? - zapytał Ruggiero.

Toni westchnął bezradnie. Któż poza Najwyższym mógłby odpowiedzieć na to pytanie?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- OK, moi mili, na dzisiaj to wszystko.

Właśnie gdy Evie wypowiadała ostatnie słowo, rozległ się dzwonek oznajmiający koniec lekcji. Przez moment trwały przepychanki przy drzwiach, ale po chwili klasa była pusta. Evie rozmasowała sobie kark.

- Ciężki tydzień, co? - Do klasy zajrzała Debra, wicedyrektorka szkoły, a jednocześnie przyjaciółka Evie, która poprosiła ją, by wzięła zastępstwo na jeden semestr.

- Oj tak, ale nie myśl sobie, że narzekam. To dobre dzieciaki - powiedziała Evie.

- Masz chwilkę? Może pójdziemy się czegoś napić?

- Chętnie. Prowadź!

Wkrótce siedziały na miłym tarasie nad rzeką i karmiły łabędzie.

- Ty rzeczywiście lubisz te dzieci, co?

- Mhm - przytaknęła Evie. - Niektóre z nich są naprawdę błyskotliwe, a szczególnie Mark Dane. Ma prawdziwy talent do języków. A tak przy okazji, nie widziałam go dzisiaj w szkole.

- To znaczy, że znów się zerwał. Wagary stają się prawdziwą plagą.

- Rozmawiałaś z jego rodzicami?

- Owszem, rozmawiałam z ojcem. Zapewniał mnie, że zrobi z tym porządek, ale nie bardzo podobał mi się ton jego głosu.

- Mnie też się nie spodobał - powiedziała Evie. - Jest zbyt pewny siebie. Wywnioskowałam, że musi być grubą rybą w przemyśle. Wszystko chce mieć pod kontrolą, nie wyłączając własnego syna.

- Myślę, że włączając w to wszystkich, także ciebie i mnie.

- A nawet małą myszkę w ciemnej dziurze - zażartowała Evie.

- Justin z całą pewnością nie zajmuje się myszkami, już prędzej tygrysami. - Debra wzięła głęboki oddech i spojrzała na przyjaciółkę jak ktoś, kto ma zamiar przejść do meritum sprawy. - Wiesz, nie zaprosiłam cię tu całkiem bez powodu...

- Obawiałam się tego. - Evie przymknęła oczy i uniosła głowę, wystawiając twarz na słoneczne promienie.

W wysokich butach, dzinsach i krótko ostrzyżonych włosach przypominała raczej chłopca, a nie dwudziestodziewięcioletnią nauczycielkę.

- Evie...

- Zmień płytę, Deb. Wiem, co zamierzasz powiedzieć. Żałuję bardzo, ale moja odpowiedź brzmi „nie”. Przyjęłam tę pracę na jeden

semestr i to wszystko, co mogę dla ciebie zrobić. Ten okres wkrótce się kończy i śladu tu po mnie nie będzie.

- Ale dyrektor jest naprawdę pod wrażeniem, bardzo by chciał, żebyś została w szkole.

- Stanowczo nie. Zastąpiłam nauczycielkę, która spodziewała się dziecka, a teraz urodziła już ślicznego, żwawego chłopczyka, co oznacza dla mnie, że najwyższy czas, bym podążyła już ku zachodowi słońca.

- Tak, urodziła, ale nie chce jeszcze wracać do pracy. Poprosiła mnie, żebym cię jakoś przekonała do zmiany decyzji. Może byś została tu u nas na stałe?

Evie odwróciła się plecami i wydała z siebie okrzyk, jakby zobaczyła złego ducha.

- Co jest? - spytała Debra.

- Wypowiedziałaś złowieszcze słowo!

- Jakie znów złowieszcze słowo?

- Na stałe!

- Przestań wariować. - Debra stłumiła śmiech.

- Nigdy nie robiłam niczego na stałe, dobrze o tym wiesz.

Potrzebuję zmian jak powietrza.

- Mówiłaś też, że lubisz uczyć.

- Lubię, ale w małych dawkach.

- Tak, to faktycznie motto twego życia. Wszystko w małych dawkach! Praca tu, praca tam.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jestem niedojrzała, tak? W moim wieku najwyższa pora się ustatkować? Praca od dziewiątej do siedemnastej, dom, dziecko...

- A znalazłaś może inną, lepszą drogę?

- Lepsza, gorsza... Nie w tym rzecz. Uważasz, że powinnam się ustatkować i basta, bo to odpowiednie dla kobiety, która zbliża się do magicznej trzydziestki. Ale ja mam to gdzieś i żyję, jak mi się podoba. Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie potrafią tego zaakceptować.

- Ponieważ wszyscy ci zazdrościmy - odparła Deb z uśmiechem.

- Zachowałaś wolność bez hipoteki, bez ogona...

- Bez męża - uściśliła Evie z niemałym zadowoleniem.

- Nie wiem, czy akurat z tego powinnaś się tak cieszyć.

- Z mojego punktu widzenia tak.

- Tak czy inaczej, wstajesz i wychodzisz, kiedy tylko masz na to ochotę. Przypuszczam, że to może być całkiem przyjemne.

- To jest przyjemne! - Evie westchnęła z zadowoleniem.

- Pocieszę cię, mam kredyt, wprawdzie nie na dom, ale na motor. Myślę, że można te dwie rzeczy z sobą porównać.

- Zgadza się, ale to twój wybór. Jesteś zupełnie niezależna i mogę się założyć, że nikomu nigdy nie pozwoliłaś pokierować swoim życiem.

- Ale niektórzy próbowali, i to jak! - zachichotała Evie.

- Jednak bez większych sukcesów. I nigdy nie zdobyli się na drugą próbę.

- Alec, David, Martin... - zaczęła wyliczać Debra.

- A cóż to za spis imion? - spytała z głupia frant.
- Wstydz się, nieładnie tak szybko zapominać o swoich facetach.
- Wcale mnie nie kochali, byli jedynie moimi strażnikami więziennymi! Chcieli mnie schwytać w małżeńskie sidła. A jeden z nich miał nawet czelność ustalić bez mojej wiedzy datę ślubu!
- Jeszcze mu tego nie wybaczyłaś? Biedak wpadł przez ciebie w depresję, tak długo trzymałaś go w niepewności.
- Nie trzymałam go w żadnej niepewności, tylko starałam się go delikatnie pozbyć, co okazało się procesem szalenie długotrwałym i trudnym. Wcale nie chciałam, żeby się we mnie zakochał. Myślałam, że spędzimy sobie miło czas, to wszystko.
- Czy to samo wyprawiasz z Andrew?
- Lubię go. - Evie spojrzała w niebo. - Jest naprawdę miły.
- Myślałam, że jesteś w nim zakochana.
- Kto wie? No, może coś w tym rodzaju...
- Każda inna kobieta pomyślałaby, że złowiła niezłą partię. Ma dobrą pracę, uroczy sposób bycia, poczucie humoru... Ale ty wybrzydzasz.
- Debra, przecież on jest księgowym! Cyferki, księgi, zwroty podatków...
- To jeszcze nie przestępstwo.
- Pewnie, ale święcie wierzy w to, że wszystko należy robić w ściśle określony sposób. Można się załamać...
- Hm... naprawdę wszystko? - Gdy Evie rzuciła jej wymowne spojrzenie, Debra dodała: - Mam nadzieję, że pewnego dnia trafi

wreszcie kosa na kamień i spotkasz mężczyznę, którego nie będziesz mogła zdobyć.

- A niby dlaczego?

- To będzie dla ciebie nowe doświadczenie.

Evie zaśmiała się beztrąsko. Czwała się spełniona, była zadowolona z własnego życia. Głównie zajmowała się tłumaczeniem książek z francuskiego i włoskiego na angielski, i ubóstwiała tę pracę, również z tego powodu, że wykonując wolny zawód, miała czas na podróże, z którego to przywileju nad wyraz chętnie korzystała. Miała też wielu przyjaciół, zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet, co przy powodzeniu, jakim cieszyła się u facetów, było prawdziwą rzadkością. Trudno powiedzieć, dlaczego tak bardzo przyciągała do siebie ludzi. Owszem, była urocza, ale nie można było nazwać jej piękną. Nieco zadarty nos i zbyt wyraziste brwi nadawały jej pogodnym rysom twarzy dziwnego dramatyzmu. Może to „coś” tkwiło w jej śmiechu. Gdy się śmiała, przypominała wschodzące słońce. Coś rozświetlało ją od środka i sprawiało, że ludziom zdawało się, jakby dzieliła się z nimi jakimś sekretem.

- No, czas już na mnie. Deb, naprawdę mi przykro, ale nie mogę ci pomóc.

Spacerkiem poszły na parking, gdzie Debra wsiadła do swojego salonu na kółkach, a Evie wskoczyła na błyszczący motor. Włożyła kask, pomachała przyjaciołce na pożegnanie i już jej nie było.

Jazda przez urocze przedmieścia Londynu sprawiała jej dużą przyjemność. Kochała prędkość, ale snucie się wąskimi uliczkami było równie ekscytujące.

Nagle zobaczyła Marka Dane'a. Szedł ze zwieszoną głową, wyraźnie przygnębiony. Jak na swój wiek chłopiec był wyjątkowo błyskotliwy i inteligentny. Bardzo często pierwszy zgłaszał się do odpowiedzi, a słowa same wysypywały się z jego ust, co czasem odbywało się kosztem precyzji wypowiedzi. „Powiedz to samo, tylko trochę wolniej”, często go upominała, ciesząc się jednocześnie z jego zapału. Jednak poza szkołą był zamknięty w sobie, a nawet gburowaty. Nie, nie gburowaty, pomyślała, patrząc na niego. Raczej nieszczęśliwy. Zwolniła i nacisnęła na klakson. Chłopak odwrócił się i rzucił jej gniewne spojrzenie, zaraz jednak ją rozpoznał, mimo że była w kasku i goglach, i uśmiechnął się.

- Witam panią, panno Wharton.

- Cześć, Mark. - Zdjęła kask. - Miałeś pracowity dzień.

- Tak, miałem - odparł, ale widząc ironię w jej oczach, poddał się. - Prawdę mówiąc, nie poszedłem dzisiaj do szkoły.

- A można spytać, co robiłeś?

Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty o tym mówić.

- To nie są twoje pierwsze wagary - powiedziała, starając się, by nie zabrzmiało to jak nagana.

Znowu tylko wzruszył ramionami.

- Gdzie mieszkasz?

- Na Hanfield Avenue.

- To masz niezły kawałek drogi przed sobą. Jak zamierzasz się tam dostać?

Znowu tylko wzruszenie ramion.

- Podrzucić cię?

- Serio? - rozpromienił się Mark.

- Musisz tylko włożyć kask.

- Ale wtedy pani nie będzie miała kasku.

- Dlatego pojedę bardzo wolno. Wskakuj i trzymaj się mocno.

Droga do domu Marka zajęła im pół godziny. Mieszkał w dobrej dzielnicy przy trzypasmówce biegnącej pośród okazałych domów z ogrodami. Wszystko tu ociekało dobrobytem. Evie minęła bramę i podjechała pod wejściowe drzwi. Zastanawiała się, co powiedzieć rodzicom Marka, którzy już pewnie niecierpliwie na niego czekają, ale kobieta, która otworzyła drzwi, była za stara na jego matkę. Jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia, gdy zobaczyła, w jaki sposób chłopiec dotarł do domu.

- A co to za wynalazek?

- Cześć, Lily! - zwołał Mark, zeskakując z siodełka.

- Jak możesz wracać do domu o tej porze?! - Rzuciła mu ostre spojrzenie, a potem zwróciła się do Evie. - A ty kim jesteś?

- To jest panna Wharton, moja nauczycielka - wyjaśnił szybko Mark.

- Panno Wharton, to jest Lily, gospodyni mojego ojca.

- Lepiej wejdźcie do środka - powiedziała Lily, wciąż łypiąc podejrzliwie na Evie. - Mark, naszykowałam ci w kuchni kolację.

- Czy mogłabym porozmawiać z rodzicami Marka? - zapytała Evie, gdy znaleźli się w przedpokoju.

Lily zaczęła, aż Mark zniknie w kuchni, a potem powiedziała:

- Jego matka nie żyje, a ojciec jeszcze nie wrócił z pracy.

- Czy mogłabym na niego poczekać?

- To może długo potrwać, jako że pan Dane nie wraca nigdy wcześniej, jeśli w ogóle wraca.

- A czym takim się zajmuje, że zabiera mu to aż tyle czasu?

- Zarządza.

- Czym, jeśli można wiedzieć?

- Pracuje w przemyśle, a ściślej mówiąc, jest właścicielem zakładów przemysłowych. Przejmuje wiele małych firm, a jeżeli mu się to nie udaje, prędzej czy później wyrzuca je z interesu. To jego motto: „Dostać ich, zanim oni dostaną ciebie”. Przynajmniej tak to zawsze tłumaczy.

- Ach tak... - zamyśliła się Evie. - Jeśli ktoś zajęty jest przejmowaniem świata na własność, nie pozostaje mu zbyt wiele czasu na inne sprawy.

- Ma pani całkowitą rację. To biedne dziecko ma tylko mnie, a to za mało. Robię, co w mojej mocy, ale naprawdę nie mogę zastąpić mu rodziców. Tylko proszę nie mówić panu Dane'owi, że tak powiedziałam.

- Och, z całą pewnością zachowam to dla siebie. A pani jestem bardzo wdzięczna za te informacje.

- Zrobię pani herbatę. Proszę wejść do środka.

Siedząc w salonie i czekając na herbatę, Evie miała czas, aby rozejrzeć się dokoła i zrozumieć, co chciała jej przekazać Debra na temat Justina Dane'a i co wyjawiała Lily. Był to dom zamożnego mężczyzny, który mógł zaoferować swojemu synowi wszystko, oprócz ciepła i siebie. Wciąż się rozglądając, miała wrażenie, że czegoś tu brakuje. No tak... Nigdzie nie było nawet śladu po matce Marka, choćby najmniejszego zdjęcia ani w ogóle niczego, co przypominałoby ją dziecku.

Nagle od strony drzwi dobiegł ją pełen oburzenia głos:

- Kim pani jest, u diabła, i co pani tu robi?!

Aż podskoczyła. Nie miała wątpliwości, kim był stojący w drzwiach mężczyzna. Ten sam rdzawy odcień włosów co u Marka, a do tego idealnie odpowiadał opisowi Debry. Pomyślała, że można by go uznać za personifikację dumy i pewności siebie. Taki typ, co wszystko ma pod kontrolą, a gdy tylko coś mu się spod niej próbuje wymknąć, wpada w straszny gniew. Wyraźnie było to widać w jego surowych, jeśli nie wręcz okrutnych oczach i zbyt szczupłej, mało przyjaznej twarzy. Nie dała się jednak zastraszyć.

- Nazywam się Evie Wharton i uczę Marka języków obcych - przedstawiła się naturalnym, miłym głosem.

- Naprawdę? - zapytał z kwaśną miną.

- Naprawdę.

- W takim stroju?

Evie spojrziała po swoim kolorowym kombinezonie.

- No cóż, niezależnie od tego, jak bym się ubrała, dla koniugacji czasowników nie ma to większego znaczenia, panie Dane.

- Wygląda pani raczej jak jedna z tych zwariowanych studentek...

- Dziękuję panu. - Obdarzyła go najbardziej czarującym uśmiechem, udając, że właśnie usłyszała coś bardzo miłego.

Koniecznienie musiała temu nadętemu milionerowi zagrać na nosie. - W moim wieku miło usłyszeć coś takiego.

- Nie zamierzałem prawić pani komplementów.

- Zadziwia mnie pan... A ja sądziłam, że z pańskimi zdolnościami dyplomatycznymi kroczy pan przez życie, nieustannie podbijając niewieście serca.

Wyraz jego oczu jednoznacznie świadczył o tym, że rozważa sens wypowiedzianych przez nią słów i zastanawia się, czy przypadkiem nie miała to być bezczelna kpina.

Mały, zimny prysznic dobrze mu zrobi, pomyślała Evie.

- Ile ma pani lat? - zapytał grubiańsko.

- Wystarczająco dużo, aby nie tolerować krzyków i pohukiwań.

- Dobrze, już dobrze - spuścił z tonu. - Może rzeczywiście byłem zbyt porywczy i zbyt pochopnie panią oceniłem. Zacznijmy zatem jeszcze raz.

Spojrziała na niego zadziwiona. Temu facetowi tak bardzo brakowało towarzyskiej ogłady, że było to aż fascynujące.

- Rozumiem, że to były przeprosiny?

- Nie traktowałbym tego w ten sposób. Nie jestem przyzwyczajony, że po powrocie do domu spotykam w moim salonie całkiem obcą osobę, która na dodatek próbuje przeprowadzić jakieś śledztwo.

- Śledztwo?

- Chce pani napisać raport dla władz szkoły? To proszę napisać, że mój syn ma tu doskonałe warunki i nie jest nam potrzebna niczyja interwencja.

- Nie jestem wcale pewna, czy z czystym sercem mogłabym to napisać - odparła spokojnie. - Dom faktycznie prezentuje się wspaniale, wręcz komfortowo. Z pewnością wydał pan na niego niezły majątek. Ale czy oznacza doskonałe warunki do rozwoju? Pieniądze to nie wszystko.

- Dla niektórych ludzi pieniądze to ważna sprawa.

- Gorzej, gdy stają się celem samym w sobie.

- Najwyraźniej czuje się pani upoważniona, żeby wygłaszać tu takie sądy.

- Czemu nie? Wyraziłam swoje zdanie na podstawie wyglądu tego pokoju, a pan osądził mnie na podstawie mojego stroju.

- Mówiłem już przecież, żebyśmy nie wracali do tej kwestii - rzucił zniecierpliwiony.

- Świetnie, tylko że może ja chcę do niej powrócić - powiedziała mocno już zła - i mam takie samo prawo wyciągać wnioski jak pan. - Zdawała sobie sprawę, że stąpa po kruchym lodzie, ale mało ją to

obchodziło. Rzadko wpadała w gniew, ale ten facet miał w sobie coś takiego, że aż ją korciło, żeby mu dopiec.

- Ta rozmowa zaprowadzi nas donikąd - stwierdził z irytacją. -

Jaki jest cel pani wizyty w moim domu?

- Podwiozłam Marka.

- Tym wynalazkiem, który stoi na podjeździe?

- Nie, ja jechałam, a on biegł obok - powiedziała z przekąsem, ale zaraz się poprawiła: - Siedział z tyłu.

- A miał na głowie kask?

- Tak, oddałam mu swój.

- Pani jechała więc bez kasku, a to jest niezgodne z przepisami.

- Daleka jestem od łamania prawa, ale co mi pozostało?

Zostawić go tam, gdzie go spotkałam? Był bezpieczny, więc o co chodzi?

- Ale pani nie!

- A to już nie pana sprawa.

- Nie? - warknął. - A co, gdyby zatrzymała panią policja? W końcu była pani z moim synem.

Evie zacisnęła zęby. Kontynuacja tej dyskusji nie miała sensu, zwłaszcza że ostatniego argumentu, chociaż nie był fair, nie dało się odeprzeć.

- Skąd w ogóle taki pomysł? Czy zawsze odwozi pani uczniów ze szkoły do domu?

- Otóż nie odwiozłam go ze szkoły do domu, bo był dziś na wagarach, zresztą nie pierwszy raz.

- No cóż, dotarły już do mnie wcześniej takie informacje...
 - I co pan z tym zrobił?
 - Byłem w szkole na rozmowie z dyrektorem.
 - Nie to miałam na myśli. Porozmawiał pan z synem?
 - Oczywiście, powiedziałem mu, żeby tego więcej nie robił, bo się doigra. Wygląda na to, że nie usłuchał. Ale niech pani będzie spokojna, już ja się tym zajmę.
 - Aha... A co dokładnie ma pan na myśli?
 - To, że wreszcie zrozumie, jakie są konsekwencje nieposłuszeństwa wobec mnie. Czy nie to właśnie było celem pani wizyty?
 - Nie! - krzyknęła z oburzeniem. - Nie dlatego tu przyjechałam - powiedziała z naciskiem. - Mark sprawia wrażenie bardzo nieszczęśliwego chłopca, a ja staram się dociec, dlaczego. Nie spędziłam w tym domu nawet pięciu minut, a już znam odpowiedź. Co to jest za miejsce!?
 - O co pani chodzi? Co tu jest nie tak?
 - Mnóstwo pięknych rzeczy, zupełnie jak w muzeum, ale tak naprawdę panuje tu straszna pustka.
- Dane rozejrzał się dokoła, a potem, zupełnie zbity z tropu, spojrzął na nią bezradnie:
- To nazywa pani pustką?
 - Pustka w znaczeniu emocjonalnym. Brakuje tu ciepła, serdeczności, rodziców czekających na powrót dziecka ze szkoły.

- Jego matka nie żyje - powiedział wypranym z emocji głosem. - Odeszła...

- A gdzie są jej zdjęcia?

- Po tym, co zrobiła, zdecydowałem, że nie ma potrzeby trzymania ich na widoku.

- A co na to Mark? Czy też tak uważa?

- Nie wiem, czy pani to czuje, ale przekracza pani granicę dobrego smaku. To nie są sprawy, które powinny panią interesować.

- I tu się pan myli - zaprotestowała stanowczo. - Jestem nauczycielką Marka i mam na względzie jego dobro. Dlatego interesuje mnie wszystko, co go dotyczy, a szczególnie jego cierpienie.

- Co pani może wiedzieć o jego cierpieniu?

- Tylko to, co przekazuje mi bez słów. Pan może mi powiedzieć resztę, na co, szczerze mówiąc, liczę. Co takiego zrobiła pana żona, że wymiółł pan z domu wszelkie ślady jej obecności? - Wiedziała, że w ten sposób nie uzyska odpowiedzi na to pytanie. Czowała, jak ojciec Marka zamyka się przed nią. Źle to rozegrała, nie mogła sobie darować, że straciła panowanie nad sobą.

Zapadła cisza. Justin Dane stanął przy oknie tyłem do Evie. Był wysokim mężczyzną o wąskich biodrach i szerokich ramionach. Kiedy tak stał na szeroko rozstawionych nogach, pomyślała, że jest zupełnie pozbawiony wdzięku. Miał w sobie moc i siłę mięśni, ale brakowało mu delikatności i ustepliwości. Współczuję jego wrogom, pomyślała, ten facet nie zna litości. Jakie życie ma tu ten dzieciak...

- Ta rozmowa znowu prowadzi donikąd - zaczął, a w jego głosie dało się wyczuć tłumioną irytację. - Doceniam, że przybyła tu pani w najlepszych intencjach i cieszę się, że dowiedziałem się o szkolnej niesubordynacji mojego syna. Naprawdę dobrze wypełniła pani swoje zadanie, a teraz sugerowałbym opuszczenie mojego domu.

Znów poniosły ją nerwy. Nic na to nie mogła poradzić, ale ten facet miał prawdziwy talent do wkurzania jej.

- Zadanie nie jest jeszcze zakończone, dopóki mówi pan o niesubordynacji - stwierdziła z naciskiem. - To nie jest niesubordynacja. Jego matka nie żyje, a ojciec udaje, że nigdy nie istniała. Mark jest przygnębiony i nieszczęśliwy, czuje się samotny, przeżywa stany depresyjne, i to właśnie powinno być dla pana najważniejsze. Czy jasno się wyrażam?

- A teraz... - zaczął, lecz zawiesił głos, spoglądając w stronę drzwi, skąd dobiegał jakiś szmer.

Evie też popatrzyła na drzwi i zastanawiała się, jak długo chłopiec już w nich stoi i ile zdążył usłyszeć.

- Cześć, tato.

- Cześć, Mark. Czy ktoś zaproponował pani Wharton filiżankę herbaty?

- Tak, Lily już ją przygotowuje.

- W takim razie proponuję, żebyś pokazał pani Wharton swój pokój. Na pewno zainteresuje ją twoje hobby. - Jasne było, że najchętniej wyrzuciłby ją z hukiem z domu, ale teraz nie wypadało mu tego zrobić.

- Dziękuję - odpowiedziała - naprawdę doceniam pański wysiłek i starania, aby być pomocnym. - Z przyjemnością patrzyła, jak odejmuje mu mowę.

Pokój Marka był typowym pokojem nastolatka, zavalony tysiącem gadżetów, włączając w to sprzęt grający i komputer. Można było powiedzieć, że miał wszystko, o czym tylko zamarzył. Wszędzie leżały najnowocześniejsze cuda współczesnej techniki, ale nigdzie nie było zdjęcia matki.

- Jaką moc ma twój komputer?

Mark natychmiast go włączył, by zademonstrować jego możliwości. Jak się spodziewała, był podłączony do najszybszego łącza internetowego.

- To maszyna przyszłej generacji - powiedział z dumą. - Nawet go jeszcze nie ma w sprzedaży. Ojciec sprowadził go specjalnie dla mnie. Musi mieć pewność, że mam lepszy sprzęt niż moi koledzy.

- Pewnie cię w szkole bardzo za to kochają - skwitowała kwaśno.

- W mojej poprzedniej szkole ojciec wymienił wszystkie komputery, bo uważał, że są przestarzałe. A potem puścił oko do mojej nauczycielki.

- Co zrobił? Nie wierzę, że twój tata wie, jak puszcza się oko.

- Czasem potrafi. Powtarza zresztą, że trzeba wszystko umieć, bo nigdy nie wiadomo, co kiedy się może przydać.

No tak, urok Justina Dane'a polegał na tym, że puszczał oko wtedy, kiedy musiał to zrobić. W innym przypadku było to tylko stratą czasu. Słowa Marka odsłoniły jednak nowe oblicze jego ojca.

- Założę się, że kupił ci wówczas komputer o klasę lepszy niż te dla szkoły - zaryzykowała. Gdy Mark uśmiechnął się pod nosem, spytała: - A czym zamierzasz się zająć, jak skończysz szkołę?

- Chciałbym studiować języki obce. Tacie nie bardzo się to podoba, ale ja się upieram.

- A co ma do zarzucenia twojemu wyborowi?

- Twierdzi, że to nie przyniesie mi pieniędzy.

- Akurat w tym ma rację - przytaknęła z uśmiechem.

- Ale dla mnie to nie jest najważniejsze. Znając inne języki, można poznać innych ludzi i ich kraje, no i unika się wielu pułapek.

Mark znów jest taki jak na lekcjach, pomyślała. Słowa wartko płynęły z jego ust. Czerpał z nich siłę i radość.

- Najbardziej lubię włoski. Kiedyś chcę pojechać do Włoch...

Rozległo się pukanie do drzwi. Była to Lily z herbatą. Mark wziął od niej tacę, a Evie z przyjemnością przyglądała się w tym czasie półce zapelnionej książkami. Wyjęła pierwszą z brzegu i otworzyła ją. Spomiędzy kartek wysunęła się fotografia i upadła na podłogę. Podnosząc ją, zauważyła, że przedstawia młodą kobietę z o wiele młodszym od Marka chłopcem. Śmiali się, spoglądając na siebie z czułością. To musi być jego matka, pomyślała Evie. Biła od nich prawdziwa, niczym nieskazona miłość... Chwyciło ją coś za gardło.

Kobieta ze zdjęcia już nie żyła, a chłopiec był skazany na szorstkiego ojca, który próbował luksusem zatuszować brak uczuć.

Nagle zdała sobie sprawę, że w pokoju panuje grobowa cisza.

Mark patrzył na Evie z pobladłą twarzą.

- Bałem się, że gdzieś ją zgubiłem - powiedział matowym głosem i wyciągnął rękę po zdjęcie.

- Czy to jest...?

- Mogę nalać pani trochę herbaty? - spytał zbyt uprzejmie, z dystansem, który sprawił, że stał się niezwykle podobny do swojego ojca.

- Dziękuję, poproszę - wycofała się.

Schował zdjęcie i nalał jej herbaty, kontynuując wcześniejszą rozmowę o Włoszech, które wyraźnie go fascynowały.

- Masz prawdziwie belferskie podejście do tematu - skomentowała jego wypowiedź.

- Tylko proszę nie mówić tego tacie, bo się wkurzy.

- Pewnie masz rację. Zanim staniesz z nim w szranki, musisz jeszcze trochę podrosnąć.

- Ludzie rzadko decydują się na starcie z tatą. Przejeżdża po nich jak walec. Oprócz pani, bo to pani okazała się walcem.

- Mark! - wykrzyknęła, śmiejąc się. - W życiu nie chodzi tylko o to, kto kogo rozjedzie na placek. - Musiała się powstrzymać, żeby nie dodać: „Niezależnie od tego, co myśli o tym twój ojciec”.

- Tak, ma pani rację - powiedział bez przekonania - ale to jednak pomaga w życiu. A pani jest jedyną znaną mi osobą, która dała sobie z nim radę.

- Nie mów tak, proszę. A ile było tych osób, które nie dały sobie rady?

- Wystarczająco wiele, by wiedzieć, że pani...

- Dobrze, już dobrze - weszła mu w słowo.

- Chciałbym tak umieć.

Dyplomatycznie nie skomentowała tych słów, tylko oznajmiła: - Muszę już iść.

- A nie może pani jeszcze trochę zostać? Jest tak miło.

- Zobaczymy się jutro w szkole, oczywiście jeśli przyjdiesz. -

Popatrzyła na niego spod oka. - To co, nigdy więcej wagarów?

Umowa?

- Umowa! Uścisnęli sobie ręce.

- Świetnie - skomentował Justin, który stał w drzwiach. -

Najważniejsze umowy to te zatwierdzone uściskiem dłoni.

Głos miał spokojny i pełen aprobaty. Nie wiedziała, ile usłyszał z ich rozmowy.

- Właśnie zawarliśmy bardzo ważną umowę - zapewniła go Evie. - Mark obiecał mi, że od tej pory nie opuści już ani jednej lekcji, a ja wierzę, że jako człowiek honoru dotrzyma słowa.

Spojrzeniem dała Justinowi do zrozumienia, że mądrzej zrobi, jeśli uzna sprawę za zamkniętą. Zauważyła też, że go to trochę zaskoczyło, ale powiedział tylko:

- Mark, bądź tak uprzejmy i odprowadź naszego gościa do drzwi. Do widzenia, panno Wharton. - Skinął lekko głową i wyszedł z pokoju, niweczając tym samym szansę na dalszą rozmowę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego dnia Evie nie miała lekcji z klasą Marka, ale widziała go w szkole. Kolejnego dnia spotkali się na zajęciach, więc na przerwie spytała dyskretnie:

- Wszystko w porządku?

- Jest dobrze.

- Nie miałeś z ojcem przeprawy, kiedy wyszłam?

- Nie powiedział już ani słowa o wagarach, za to zadawał mi mnóstwo pytań dotyczących pani.

- Mnie?

- Kim pani jest? Co o pani wiem? Czy bardzo się pani wyróżnia w szkole? - Uśmiechnął się pod nosem, jakby spłatał jakiegoś figla. - Powiedziałem mu, że wcale się pani nie różni od innych nauczycieli, a on wtedy spytał, czy cała rada pedagogiczna jeździ na motorach.

- Biegnij już, Mark - powiedziała, starając się nie roześmiać - zaraz masz następną lekcję.

Do końca tygodnia wszystko przebiegało zgodnie z umową. Mark, jak obiecał, przychodził codziennie do szkoły, a Evie czuła prawdziwą satysfakcję, że udało jej się odwalić kawał dobrej roboty.

Za to jej życie osobiste nie było zbyt uporządkowane. Andrew zmienił się, narastało w nim poczucie, że nie jest najważniejszą osobą w jej życiu. Niby mogła jeszcze ocalić ten związek, ale nie była pewna, czy wart jest takiego zachodu. Bo przecież na małżeństwie wcale jej nie zależało, ale na Andrew chyba jednak tak.

Miała z nim dziś iść na kolację. Swój zwykły strój, to jest dzinsy i kowbojki, zamieniła na elegancką, niebieską sukienkę i komplet delikatnej biżuterii. Po lekcjach została jeszcze na kilka godzin w pracy, by odrobić zaległą papierkową robotę. Czekwała na Andrew. Właśnie kończyła pracę, gdy do klasy wkroczył Justin Dane. Nim się odezwał, poczuła bijący od niego gniew.

- Tyle gadania i wszystko na nic! - zagrzemiał.
- Nie rozumiem, w czym problem?
- Zawarła pani umowę z Markiem! A on dał pani słowo, że nie pójdzie więcej na wagary!
- I dotrzymał go! Od tamtej pory był codziennie w szkole.
- Dziś też?
- Tak, właśnie skończyłam poprawiać jego pracę. Szczególnie dobrze poszło mu tłumaczenie. - Pokazała Justinowi pracę syna.
- To w takim razie gdzie on się podziewa? - spytał zdenerwowany.
- Nie wrócił do domu?
- Nie.
- Może poszedł gdzieś z kolegami?

- Nie ma w zwyczaju ot tak sobie gdzieś chodzić. Zawsze uprzedza o tym Lily albo mnie.

- Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że znów gdzieś samotnie się włóczy? - spytała przestraszona.

- Tego nie wiem, choć wolałbym, żeby to była samotna włóczęga. Gdzie go pani wtedy znalazła?

- Szczerze mówiąc... nie pamiętam nazwy ulicy, ale wiem, gdzie to było.

- W takim razie proszę mnie tam zaprowadzić.

Rozbawił ją tym rozkazem.

- Przykro mi, ale wybieram się dzisiaj na randkę, nie widzi pan?

- A niby jak bym miał to widzieć?

- Bo zrobiłam się na bóstwo. - Wskazała na sukienkę. - Nie ubieram się tak, gdy nie muszę - dodała z rozbrajającą szczerością.

Chyba się uśmiechnął, choć to raczej niewiarygodne.

- Wierzę pani.

- Panie Dane, jestem pewna, że zabrzmiałoby to dla pana jak odkrycie, ale mam też życie prywatne i nie siedzę tu w oczekiwaniu na pańskie rozkazy.

- A więc nie chce mi pani pomóc?

- Tego nie powiedziałam, ale wolałabym, żeby użył pan słowa „proszę”. Wtedy lepiej bym się poczuła.

- W porządku. Proszę. A teraz możemy już jechać?

Evie spojrzała na zegarek. Wkrótce zjawi się tu Andrew.

Nie będzie mu miło, kiedy jej nie zastanie, ale z drugiej strony miała aż nazbyt dobrze w pamięci udreżoną twarz Marka, jego beznadziejnie smutne oczy i przygarbione ramiona.

- Dobrze, jedźmy, ale muszę zaznaczyć, że nie mam zbyt wiele czasu. Pozwoli pan, że przedtem jeszcze zadzwonię. - Wybrała numer Andrew. - Kochanie - powiedziała po chwili do słuchawki - niestety spóźnię się troszkę. Będiesz mógł zaczekać jakąś godzinę? - Usłyszała jego ciężkie westchnięcie. - W takim razie za godzinę. Pa.

W czasie jazdy nie odzywali się do siebie. Evie przypomniła sobie, jak Mark opowiadał, że ojciec wypytywał go o nią. Spojrzała z ukosa na profil Justina. Był władczy i nieustępliwy, choć prawdę mówiąc, w innych okolicznościach mógłby uchodzić za atrakcyjnego faceta, szczególnie z tym ostro zarysowanym nosem. Wspaniały kandydat na sojusznika, lecz mieć go za wroga - Boże uchroni! Chcąc przerwać ciszę, spytała:.

- Niech mi pan opowie, co się dzisiaj wydarzyło.

- Zadzwoniłem do domu i chciałem rozmawiać z Markiem. Lily powiedziała mi, że nie ma go jeszcze w domu i że nie wie, gdzie jest.

- I natychmiast, tak samo zresztą jak poprzednio, zrzucił pan całą winę na mnie?

Usłyszała tylko chrząknięcie.

- Zastanawiam się, czy Mark mógł jeszcze raz pójść w to samo miejsce. Może jest tam jakieś kino albo sklepy?

Justin wyraźnie zwolnił i przyglądał się uważnie okolicy.

- Znam tę część miasta - powiedział w końcu. - Kiedyś tu mieszkaliśmy.

- Kiedy?

- Jakies trzy lata temu. To tu go pani spotkała?

- Na następnej ulicy.

Skrecił w nią, ale tak jak się domyślała, nie było tam Marka.

- A gdzie stał wasz dom?

- Jakies pięć minut drogi stąd - odparł wyraźnie spięty.

- Z pewnością jest tam - powiedziała szybko i wskazała palcem na cmentarz. To jasne, pomyślała, pewnie tu jest pochowana jego matka.

Justin zatrzymał samochód przy krawężniku. Po chwili wspięli się po stopniach na wzniesienie.

Evie dostrzegła go pierwsza. Na jej widok rozjaśniła mu się twarz.

- Witaj, synu - powiedział Justin.

Mark zatrzymał się i spojrzał w stronę ojca. Z jego twarzy wyzierała pustka, żadnych uczuć. To wystarczyło, aby powstrzymać Justina w jego zamiarach. Evie modliła się w duchu, aby Justin nie zwymyślał chłopaka, ale on tylko wzruszył ramionami, dając tym samym wyraz swojej całkowitej bezradności, i odszedł. Evie wykorzystała ten moment, podeszła do Marka i powiedziała na tyle cicho, by ojciec nie mógł jej usłyszeć:

- Wiesz, że to nie fair. Obiecałeś mi przecież, że nie będziesz więcej chodził na wagary.

- Przecież byłem w szkole - zaprotestował Mark.

- Ale potem przepadłeś jak kamień w wodę i dobrze wiesz, że to, nie w porządku. Nie zmuszaj nas do polowania na ciebie i nie przysparzaj ojcu dodatkowych zmartwień.

Po twarzy chłopca przemknął uśmiech niedowierzania.

- Byłem tylko tutaj - usprawiedliwił się.

- Wtedy także stąd wracałeś...?

- Tak, tu jest pięknie.

- Mark... pokażesz mi?

Bez słowa wziął ją za rękę i poprowadził w głąb starego cmentarza pełnego ozdobnych wiktoriańskich nagrobków. Wysoka trawa i drzewa czyniły to miejsce raczej urokliwym niż smutnym. Odwróciła się i zobaczyła, że Justin wciąż stoi w tym samym miejscu i ich obserwuje.

- Twoja mama... ona nie żyje, prawda?

Mark skinął głową.

- Jest tu pochowana?

- Nie... ale powinna być.

Ostatnie słowa wypowiedział bardzo cicho. Miała wrażenie, że się przesłyszała.

- Co masz na myśli?

- Nic. Chyba będzie lepiej, jak wrócimy do taty.

Justin wciąż stał bez ruchu i patrzył w ich stronę. Dałaby sobie głowę uciąć, że wyczuwa w nim niepewność, ale, biorąc pod uwagę odległość, mogła się mylić.

- To co, możemy już jechać do domu? - spytał Justin Marka. A zaraz potem zwrócił się szybko do Evie. - Pojedzie pani z nami?

- Niestety nie mogę, mam dziś spotkanie, na które już jestem spóźniona.

- Proszę - powiedział z naciskiem.

Poczuła, że Justin z napięciem oczekuje na jej odpowiedź.

- Dobrze, ale tylko na chwilę.

Mark odetchnął z ulgą. Także z twarzy Justina zniknęło napięcie.

- Zatem chodźmy do samochodu.

Mark cały czas nie wypuszczał jej ręki z uścisku, a gdy znaleźli się przy samochodzie, niemal wciągnął ją za sobą na tylne siedzenie w obawie, że nie zechce koło niego usiąść.

Całą drogę nie odzywali się do siebie. Evie była zadowolona, że znowu może coś dla niego zrobić, ale w jej głowie włączył się sygnał alarmowy. Ten chłopiec prawie wcale jej nie znał, jedynie ze szkolnych zajęć, a lgnął do niej jak do swego wybawcy. Nie wiedziała, przed czym miałyby go uchronić, ale przelotny kontakt z jego samotnym życiem prawdziwie ją przeraził. Coś mówiło jej, że najgorsze ma jeszcze przed sobą.

Lily przywitała ich z wyraźną ulgą.

- Panna Wharton jest bardzo głodna - zawołał Mark, gdy tylko wyskoczył z samochodu.

- W takim razie idę przypilnować kolacji - odparła Lily i natychmiast zniknęła.

- Mam nadzieję, że zostanie pani z nami na kolacji - wymamrotał Justin.

- W takim razie lepiej będzie, jak zadzwonię.

Sądząc po głosie, Andrew chyba spodziewał się takiego obrotu sprawy.

- Zrozum, proszę, sytuacja tak się rozwinęła, że nie mogę stąd po prostu wyjść - powiedziała na swoje usprawiedliwienie.

- A czy to coś nowego?

- Kochanie, to nie fair. - Kątem oka dostrzegła, że Justin ją obserwuje. - Nie prosiłam o taki rozwój wydarzeń...

- Ty nigdy o to nie prosisz, ale zawsze jakoś tak się układa. Evie, czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że twoje życie pęka w szwach? Może należałoby wyeliminować z niego kilka rzeczy, zaczynając na przykład ode mnie?

- Masz na myśli, że powinniśmy się rozstać?

- A czy nie do tego zmierzamy?

- Nie - powiedziała zdecydowanym głosem. - Wcale tego nie chcę, to zbyt poważna decyzja, by podejmować ją w taki sposób.

- Jasne, odłożmy ją więc na jakiś czas, abyś mogła mnie jeszcze trochę pozwozić.

- Czy, według ciebie, tak właśnie robię? - zdziwiła się.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że tego nie dostrzegasz. Odwagi, Evie, wyduś wreszcie z siebie, że ci na mnie nie zależy!

- Ale kiedy to nieprawda! Zależy mi na tobie, to tylko ten dzisiejszy wieczór... Jutro do ciebie zadzwonię i coś wspólnie ustalimy.

- Tak, z pewnością, nie ma problemu.

- Andrew? Andrew? - Ale w słuchawce słyhać było tylko sygnał przerwane go połączenia. Nie mogła wyjść ze zdumienia, że ten miły, uprzejmy Andrew tak ją potraktował.

- Coś nie tak? - spytał Justin.

- Chyba trudno się dziwić - powiedziała zdenerwowana. - Pan by się nie zdenerwował?

- Zabrzmiało to tak, jakby pani obiecała poprowadzić go w weselnym tańcu.

- Nie powinien pan podsłuchiwać. - Spojrzała na niego z wyrzutem. - Pan by się o wiele wcześniej rozłączył.

W odpowiedzi przesłał jej tajemniczy uśmiech, a potem jeszcze bardziej ją zaskoczył, mówiąc:

- Może nie?

Nie do końca wiedziała, co miał na myśli, ale chwilowo musiała odłożyć na bok własne problemy. Teraz liczył się tylko Mark. Nie mogła wymazać z pamięci jego pustych oczu ani tego, jak ożywił się na jej widok, jak złapał ją za rękę i jak bardzo chciał ją zatrzymać na kolacji.

- Świetnie - podsumował Justin - ale jest mi pani winna wyjaśnienie.

- Nie teraz.

- Słucham?

- W tej chwili najlepsze będzie dla Marka, gdy usiadziemy razem do kolacji i będziemy wobec siebie sympatyczni, a przynajmniej takich będziemy udawać. Potem przyjdzie też czas na wyjaśnienia.

Nie był przyzwyczajony, żeby ludzie zwracali się do niego w ten sposób.

- W porządku, w takim razie wy zjecie kolację, a ja trochę popracuję.

- Nie ma mowy, nie po to tu zostałam, żeby pan mógł zająć się pracą. Chyba niezbyt często jada pan z Markiem kolację?

- To prawda, ale mam coś ważnego do załatwienia.

- Faktycznie, rozmowa z własnym synem to rzecz bardzo ważna. Justin zacisnął usta i wyrzucił z siebie:

- Panno Wharton, jestem ogromnie wdzięczny za to, co zrobiła pani dla Marka, ale ta decyzja nie należy do pani.

- Przykro mi, ale nie ma pan racji. Proszę sobie pozwolić to wyjaśnić. Jeżeli ja byłam w stanie poświęcić swój prywatny wieczór dla pańskiego syna, to chyba pan może zjeść z nim kolację! A jeśli nie, to ja wychodzę, i to zaraz. I moją nieobecność może pan wytłumaczyć Markowi, jak się panu podoba.

Wkurzyła go nie na żarty.

- Nie ma takiej możliwości, by ktoś w moim domu dyktował mi, co mam robić.

Evie powstrzymała się od komentarza, tylko spojrzała mu prosto w oczy. Jego gniew spotkał się z jej gniewem. Na wyzwanie odpowiedział wyzwaniem.

Mark wyszedł przed dom i zastał ich w tej niezręcznej sytuacji.

- Lily podała kolację na tarasie. Czy mogę jej powiedzieć, że już idziecie? - zapytał.

Widziała wahanie na twarzy Justina, ale przełamał się, uśmiechnął do syna i powiedział:

- W porządku, już idziemy.

Mark znowu wziął Evie za rękę i poprowadził na taras, z którego roztaczał się widok na ogród. Taras był utrzymany w rustykalnym stylu, podłogę wyłożono kamiennymi płytami, a całość wykończono drewnem. Na stole czekała kolacja. Lily sprawiła się nadzwyczajnie: wspaniale podane spaghetti, pieczona ryba i aromatyczna kawa.

Gdy tylko usiedli do stołu, Justin zwrócił się do syna:

- Opowiedz nam teraz, dlaczego zniknąłeś po szkole i napędziłeś nam stracha?

- Och, zostawmy tę sprawę na później - pospieszyła z odsieczą Evie. - Mark, podobnie zresztą jak ja, jest typem myśliciela. Czasem mamy ochotę wyrwać się z tłumu i побыć trochę w samotności. Nie ma w tym nic złego.

Jednak Justin nie dawał za wygraną.

- Chciałem tylko...

- Nie teraz - anielskim głosem przerwała mu Evie.

Nie chciała psuć miłej atmosfery przy stole.

Justin przełknął jakoś tę uwagę i zabrał się do jedzenia.

- Mark, opowiedziałam ojcu o twojej ostatniej pracy. Świetnie ci poszło tłumaczenie. - Potem zwróciła się do Justina. - Mark jest jednym z moich najlepszych uczniów. Może być pan dumny z syna.

- Jeżeli twierdzi pani, że potrafi ciężko pracować, to jestem z niego dumny - odparł sucho.

Spojrzała na niego z wyrzutem, jakby chciała powiedzieć: „Wysłuchaj się tylko w ton własnych słów! Nie umiesz powiedzieć czegoś miłego? Bez tego koszmarne chłodu? Czy każde cieplejsze słowo trzeba ci wydzierać z gardła na siłę?”.

- Wracając do szkolnych spraw - ciągnęła dalej - sądząc z wypowiedzi pozostałych nauczycieli, ma pan powody do dumy także z innych względów. Mark zawsze jako pierwszy oferuje pomoc słabszym uczniom. Oprócz tego dobrze mu wychodzi praca zespołowa.

Justin wydawał się zaskoczony tymi pochwałami. Evie była pewna, że praca w zespole nie stała zbyt wysoko w jego rankingu.

- Myślę, że ta umiejętność może przydać się w życiu - powiedział rzeczowo, ale bez entuzjazmu. - A pani, panno Wharton, nie należy chyba do stałych nauczycieli Marka?

- Nie, podjęłam się tylko zastępstwa na okres jednego semestru, a potem zamierzam powrócić do mojego poprzedniego zajęcia, jakim jest tłumaczenie książek.

- Jak to, to pani nie zostanie w szkole na stałe? - spytał zbity z tropu Mark.

- Nigdy nigdzie nie zagrzewam dłużej miejsca. Lubię podróże w nieznane. Pomyśl, jest tyle nowych miejsc do odkrycia. Z końcem roku wybieram się do Włoch.

- A do jakiego miasta?

- Będę się włóczył tu i tam, chcę studiować dialekty.

- Myślałem, że wszyscy mówią tam po włosku.

- To prawda, ale w różnych regionach używają różnych dialektów, które dla niewprawnego ucha brzmią jak zupełnie inne języki.

- Naprawdę tak się różnią między sobą? - spytał Mark.

- Naprawdę. Często się zdarza, że to samo zdanie brzmi zupełnie inaczej.

- To niesamowite! - ucieszył się chłopiec. - Ale po co to komu? Dlaczego nie mogą mówić po prostu po włosku?

- Dialekty pojawiają się tam, gdzie ludzie chcą podkreślić swoją odrębność, to znaczy swoje dziedzictwo kulturowe, mentalność czy historię. A dla pana, panie Dane, ważne jest pańskie dziedzictwo?

Zadziwiła ją jego reakcja na to pytanie. Miała wrażenie, że skulił się w sobie i zatrzasnął przed nią wszystkie drzwi. Zapadła głucha cisza.

- Uważam, że posługiwanie się jednym językiem jest bez porównania bardziej praktyczne.

- Niewątpliwie, tylko nie zawsze myśli się pragmatycznie. Czasami więcej radości daje różnorodność.

- Z takim podejściem do życia nie zaszedłbym daleko.

- Dzięki Bogu Włosi nie są nadzwyczajnymi biznesmenami. Są urokliwi, kochają życie, muzykę i wszystko, co się z tym łączy - powiedziała Evie, chcąc nadać nieco lżejszy ton ich rozmowie. - Kto chciałby myśleć nieustannie o wydajności pracy czy notowaniach giełdowych?

- Ja tak chcę.

Evie i Mark wymienili spojrzenia i mimo że Justin to zauważył, nie skomentował tego zachowania.

- Przyśle mi pani z Włoch pocztówkę? - zapytał Mark tęsknym głosem.

- Jasne, całe mnóstwo pocztówek, z każdego zakątka, do którego dotrę.

Chłopiec zasypał ją pytaniami, na które chętnie odpowiadała, a Justin, który przysłuchiwał się tej rozmowie, wydawał się zadowolony, ale w pewnym momencie upomniał syna:

- Mark, zrób sobie małą przerwę i zjedz coś. - Powiedział to miłym i spokojnym głosem, więc Mark bez sprzeciwu zajął się swoim talerzem.

Evie rozejrzała się po ogrodzie i po chwili zauważyła psa otoczonego gromadką szczeniąt.

- To jest Cindy - wyjaśnił Mark - a to Hank, ojciec tej piątki. Należą do Lily.

W tym momencie pojawiła się gospodyni z karmą w miskach. Szczeniaki przepychały się jeden przez drugiego i po chwili nie było śladu po jedzeniu, zaczęły się więc rozglądać za dokładką. Jeden z

nich, najbardziej odważny, ruszył w stronę miski Hanka, jako że przezorna Cindy już uporowała się ze swoją porcją. Hank ostrzegawczo warknął na małego.

- Trzeba ratować tego malucha? - Evie poderwała się z krzesła.

- Nie ma powodu - powiedział Justin uspokajająco i położył jej rękę na ramieniu. - Poradzą sobie.

- Ależ on go połknie jednym kłapnięciem paszczy!

- Naprawdę nic się nie stanie, nigdy nic się nie dzieje.

Usiadła więc i ze zdziwieniem obserwowała, jak maluch opróżnia miskę ojca. Hank przestał warczeć i tylko spoglądał zaskoczony na rozwój sytuacji, jakby pytał, co ma począć z tym fantem. Evie roześmiała się.

- W tym ogromnym cielsku bije miękkie serduszko. No chodź tu do pani, kochany pies.

Hank podszedł, wpatrując się w nią przyjaźnie.

- Mój biedaku - powiedziała, gładząc go po pysku - prawie nic nie zdążyłeś zjeść na kolację. Zobaczmy, czy lubisz spaghetti. Jasne, że lubisz! - Objęła psa i cmoknęła go w łeb.

Lily i Mark byli zachwyceni, za to na twarzy Justina nie było nawet cienia aprobaty. Wpatrywał się w nią, jakby poraziło go ostre światło lampy.

Lily sprzątnęła ze stołu, a Evie poszła umyć ręce wylizane przez Hanka. Gdy wróciła, na stole stało już ciasto i kawa.

- Ładnie dziś pani wygląda - powiedział nagle Mark. - Normalnie się tak pani nie ubiera.

- Miałam zaplanowane wyjście.
 - Na randkę?
 - Tak.
 - Ma pani chłopaka?
 - Mam.
 - Mark! - upomniał Justin syna.
 - Będzie na panią zły.
 - Nie martw się, poradzę sobie z nim.
 - Myślę, że pani poradzi sobie z każdym. Założę się, że jeszcze dostanie od pani burę.
 - Jeśli tak zrobię, najpewniej nie zostanie zbyt długo moim chłopakiem.
 - Już pani na nim nie zależy?
 - Mark! - Justin z zażenowania ukrył twarz w dłoniach. Evie prawie go polubiła za ten gest.
 - To tajemnica - odpowiedziała z uśmiechem.
 - Aha... A jemu na pani zależy? - nie dawał za wygraną chłopiec.
 - Po dzisiejszym wieczorze pewnie już nie - powiedziała pogodnie.
 - Ale gdyby mu nadal bardzo zależało, to...
 - Mark, wystarczy już tego - skarcił go ostro Justin.
- Usłuchał w jednej chwili, ale widać było, że natychmiast stracił humor.

- Wcale się nie gniewam za te pytania - próbowała załagodzić Evie. - Tylko sobie tak żartujemy. - Uśmiechnęła się porozumiewawczo do Marka i puściła do niego oczko.

Odwdzieczył się jej tym samym.

Spojrzała na Justina. Wyglądało na to, że był niepocieszony z powodu wykluczenia go z zaczarowanego kręgu tych poufałych spojrzeń i mrugnięć. Po chwili doszła jednak do wniosku, że musiało jej się zdawać. To czysty absurd. Justin Dane nigdy nie dawał się zbić z tropu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lily zawołała Justina do telefonu, a Mark natychmiast wykorzystał okazję i poprosił Evie, żeby poszła z nim do jego pokoju. Chłopiec od razu odzyskał dobry nastrój. Rozmawiali o psach, a Mark pstrykał zdjęcia.

- Ale masz aparat, zaraz zzielenieję z zazdrości. Mój jest o wiele prostszy, a i tak nie umiem się nim posługiwać.

- To bardzo łatwe...

- Nie dla każdego.

- Tata też nie umie i strasznie go to złości.

Mark włączył komputer i obejrzeli wszystkie zdjęcia na monitorze. Bezustannie fotografował swoje psy, miał na tym punkcie prawdziwego hopla.

- A masz zdjęcia swoich kolegów? Mark wzruszył ramionami.

- Nie mieszkamy tu długo i nie znam zbyt wielu ludzi.
- Ale w pobliżu są przecież jakieś domy.
- Przeprowadziliśmy się tutaj, kiedy mama odeszła. Tata nie mógł znieść naszego starego domu. Wtedy zmieniłem szkołę.
- Twoja mama odeszła od was?
- Tak, wyjechała i nigdy już nie wróciła. Mam tu jeszcze więcej zdjęć.

Po chwili cały ekran zappełniły szczeniaki Cindy, ale Evie myślała o tym, co powiedział Mark. Wreszcie doszła do wniosku, że chłopiec próbuje w ten sposób złagodzić smutek po śmierci matki.

Na ekranie leciał właśnie filmik z udziałem Justina. Jeden ze szczeniaków próbował się wgramolić po sofie na biurko, przy którym pracował. Justin ujął go delikatnie, przytulił do policzka i popatrzył na niego z łagodną rezygnacją. Potem odstawił psiaka na podłogę i niemal się uśmiechnął. Miała okazję dokładniej mu się przyjrzeć. Miał niezbyt regularne rysy i zdecydowanie za duży nos. Nawet wówczas, gdy trzymał szczeniaka, emanowały z niego siła i władczość. Nie miała wątpliwości, że byłby w stanie usunąć każdego mężczyznę w cień. Niektórym kobietom nawet mogłoby się to podobać, ale nie jej. Nie był w jej typie, z tą swoją absolutną pewnością siebie, nieustępliwością i brakiem zainteresowania tym, co mają do powiedzenia inni. Doskonale potrafiła wyobrazić sobie z nim potyczki słowne, ale nic poza tym, żadnych czułości.

- Hej!

Mark przywołał ją do rzeczywistości. Spojrzała na niego i w tym samym momencie usłyszała kliknięcie.

- Mam panią! - zawołał uradowany.

- Ach, ty łotrze! - roześmiała się.

- A teraz wystarczy przełożyć kartę do komputera i proszę bardzo!

Na ekranie ukazały się dwa zdjęcia Evie.

- A czemu mi się to nie udaje? - Gdy westchnęła z żalem, Mark uśmiechnął się pod nosem. - Myślę, że wiem, dlaczego. Niektórzy z nas mają po prostu talent. Robisz wspaniałe zdjęcia, Mark!

- Proszę, nagrałem je na płytę, wystarczy wsadzić ją do komputera.

- Bardzo ci dziękuję.

Evie nie była zbyt zadowolona z obrotu sprawy. Liczyła na to, że rozmowa potoczy się w całkiem innym kierunku. Miała nadzieję, że uda jej się zrozumieć, jaki cel miały wyprawy Marka na cmentarz. Sądziła jednak, że klucz do tej zagadki leżał całkiem gdzie indziej. Wspólne, beztroskie oglądanie zdjęć dało mu więcej niż wszystkie rozmowy świata.

- Myślisz, że tata wciąż ma do ciebie pretensję za ten dzisiejszy wypad? Chyba nie żyje ci się z nim łatwo.

- Nie jest taki zły - odparł Mark. - To prawda, szybko wpada w gniew, ale potem jest mu przykro.

- Rozumiem... - To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała.

- On też jest nieszczęśliwy - dodał niespodziewanie Mark.

- Z powodu twojej mamy?

- Też, ale ma też dużo innych problemów. Pamiętam, jak rodzice kłócili się i mówili różne okropne rzeczy, a mama zarzucała mi, że nosi w sobie ciemną stronę, o której nie jest w stanie mówić. Tata powiedział, że nawet gdyby się o tym dowiedziała, nic by to nie zmieniło. I odszedł. Był wtedy przeraźliwie smutny. Dobrze widziałem jego twarz, bo ukryłem się pod schodami. Ale on mnie nie widział, i całe szczęście, bo nienawidzi pokazywać po sobie uczuć. Wciąż mi się wydaje, że mogę mu jakoś pomóc... - Gdy Evie rzuciła mu zdziwione spojrzenie, dodał spiętym głosem: - Powinniśmy pomagać sobie nawzajem, tego właśnie pragnę. Chciałbym być... właśnie tak... chciałbym tylko... - Dłużej nie wytrzymał. Jego ciałem wstrząsnął silny dreszcz, a po policzkach popłynęły mu łzy. Evie spontanicznie przytuliła go do siebie. - Przepraszam...

- Nie masz za co przepraszać, Mark. Jeżeli jest ci smutno, masz prawo płakać i masz prawo się wyżalić.

- Ale ja nie mam komu, nikt mnie nie rozumie.

Od strony drzwi doszedł ją szmer. Spojrzała w tę stronę i zobaczyła Justina, który stał i patrzył na nią tak jak na tarasie, kiedy bawiła się z psem. Dała mu znak głową, żeby zostawił ich jeszcze samych. Mark niczego nie zauważył. Im bardziej dochodził do siebie, tym bardziej był zażenowany. Uzewnętrznianie uczuć nie było również i jego mocną stroną.

- Powie mi pani dobranoc przed odjazdem?

- Oczywiście, obiecuję.

Evie uścisnęła go mocno, a potem zamyślona zeszła na dół.
Justin czekał na nią w salonie.

- Wszystko z nim w porządku? - zapytał mrukliwie.

- Nie bardzo, ale uspokoił się i kładzie się spać. Obiecałam, że pożegnam się z nim, zanim odjadę. Myślę, że byłoby dobrze, gdyby pan teraz do niego poszedł.

- Nie ma mowy, przerabialiśmy to już nieraz. On mnie nienawidzi.

- To nieprawda!

- Skąd pani to może wiedzieć? Mówił coś na ten temat?

- Nie mogę powtarzać tego, co mówił. To kwestia zaufania.

- To nonsens, jestem jego ojcem!

- A ja jestem osobą, którą pan tu przywiózł, żeby mu pomogła. Potrafił się przede mną otworzyć i choć powiedział niewiele, z całą pewnością nie jest prawdą, że pana nienawidzi. Daleki jest od tego.

- Niech to wszystko piekło pochłonie!

- Świetnie, w takim razie proszę mnie wyrzucić.

- Niech mnie pani nie prowokuje.

Evie wyjęła z torebki komórkę i wybrała numer.

- Andrew...

Ręka Justina zacisnęła się na jej ramieniu, sprawiając jej ból.

- Chyba jednak będzie lepiej, jak pani zostanie.

Uwolniła się z jego uścisku.

- Cieszę się, że zmienił pan zdanie. Nie przepadam za roztrzęzionymi facetami.

Justin wziął głęboki oddech.

- Proszę, niech pani zadzwoni do Andrew jeszcze raz, inaczej będzie się niepokoił.

- Nie ma takiej potrzeby, to był blef.

- Więc bawi się pani moim kosztem!

- Nic podobnego. Próbuję pomóc pana synowi, ale tylko na moich warunkach.

- To zwykle moja metoda działania.

- W takim razie jedno z nas będzie musiało się poddać.

Musiała przyznać sobie punkt. Naprawdę dużo udało jej się osiągnąć. Wcześniej bała się starcia z Justinem, a teraz instynkt podpowiadał jej, że ten facet szanuje tylko tych, którzy potrafią mu stawić czoło. Uległość oznaczała katastrofę. Zresztą uległość nie była w jej stylu.

Zapadła grobowa cisza. Domyślała się, że wielki Justin Dane właśnie zrozumiał, że ma bardzo ograniczone możliwości manewru i nie bardzo wiedział, jak sobie z tym poradzić.

- Może mógłby mi pan opowiedzieć, co się właściwie wydarzyło? Dlaczego Mark chodzi na cmentarz? Powiedział mi pan, że jego matka umarła, myślałam więc, że jest tam pochowana. Jednak Mark temu zaprzeczył.

- A czy powiedział coś jeszcze?

- Że powinna się tam znaleźć.

- Do diabła! Co on miał na myśli? Moja żona zostawiła nas dwa lata temu. Nas obu! Bo w jej życiu pojawił się inny mężczyzna.

Wyjechała do Szwajcarii.

- I nie zabrała z sobą syna? Czy może pan się na to nie zgodził?

- Nie mógłbym się nie zgodzić, ale obawiam się, że w ogóle jej to nie przeszło przez myśl.

Evie ukryła twarz w dłoniach.

- Nie rozumiem, jak matka może coś takiego zrobić. Zostawić męża to co innego, to się zdarza, ale porzucić dziecko?

- To straszna zbrodnia - powiedział ponuro Justin. - To nienaturalne i niewybaczalne.

Evie zaalarmował ton jego głosu. Spod pokładów gniewu wyraźnie przebijała nienawiść.

- Czy ona utrzymuje kontakt z Markiem?

- Czasem pisała, na Gwiazdkę i na urodziny przysyłała prezenty, ale nigdy nie zaprosiła syna w odwiedziny, bo jej nowy partner sobie tego nie życzył. Okazał się ważniejszy od syna. - W głosie Justina pojawiły się gorycz i ból.

- Mark bardzo to przeżywa.

- Na szczęście mój syn jest dzielny i silny. I dobrze wie, jaki okrutny potrafi być świat.

- Jest stanowczo za młody, by poznawać ciemne strony życia.

- Uważa pani, że istnieje w ogóle taki wiek dla chłopca, żeby zrozumieć, że rodzona matka go nie chce?

- Na to zawsze jest się zbyt młodym.

- Właśnie, a to się zdarza i młodszym, nawet siedmiolatkom. - Jego głos gwałtownie się zmienił. Zdawał się teraz nie zauważać Evie, mówił jakby do siebie. - A wtedy świat staje się nierealny, bo nagle znikają wszelkie stałe punkty odniesienia i otacza nas wyłącznie chaos. Jedynym ratunkiem jest wówczas wypieranie tego faktu ze świadomości, to daje swoisty azyl. Lecz takie schronienie jest niezbyt stabilne. Życie stara się je rozbić, zniszczyć i coraz trudniej zaprzeczać oczywistym faktom, coraz bardziej bolesna staje się prawda.

Evie poczuła, jak jej się zaciska gardło.

- Panie Dane, dlaczego mi pan to mówi?

- Zrobiłem wszystko, by nie dotarło do świadomości Marka, że matka go odrzuciła. Próbowałem kłamać, wymijająco opowiadałem o rozwodzie, a nawet pojechałem za nią do Szwajcarii i błagałem, żeby do nas wróciła. Zrobiłem to dla dobra naszego syna, choć nienawidziłem jej za to, jak bardzo go skrzywdziła. Kupiłem ten dom w nadziei, że może to ją przyciągnie. Jest większy i lepszy od naszego poprzedniego domu, a ona lubiła ładne rzeczy.

- Chciał ją pan nakłonić do powrotu pieniędzmi?

- Skoro odrzuciła miłość do syna, myślałem, że to poskutkuje - stwierdził z porażającym chłodem. - Lecz wszystko na nic. Nigdy nie odwiedziła Marka, dom zbyła drwiną, tak bardzo była zauroczona swoim kochankiem.

- I co działo się dalej?

- Zginęła w wypadku, gdy razem jechali samochodem. Z punktu widzenia prawa wciąż byłem jej mężem i do mnie należało

wyprawienie jej pochówku. Może powinienem był sprowadzić jej prochy do Anglii, ale tak się nie stało. Została pochowana w Szwajcarii.

- Ale Mark... Tak wiele pan zrobił, by wróciła do syna...

- Kiedy żyła, lecz potem nie miało to już żadnego znaczenia.

- Myślę, że dla Marka ma. Chociaż po śmierci miałby ją blisko siebie... Potrzebujemy takiego miejsca, gdzie moglibyśmy spotkać się z ukochaną osobą, którą straciliśmy. Po to są właśnie groby. Markowi jest to szczególnie potrzebne, bo sprzedał pan dom, z którym łączyły się wspomnienia związane z matką. Tej rezydencji nigdy nawet nie odwiedziła, dlatego Mark nie może jej tu wspominać, nie może pomyśleć: „Tu żartowaliśmy, a tu robiła dla mnie herbatę”. On potrzebuje tych wspomnień, a tymczasem co dzień po szkole wraca do pustego domu, który przypomina muzeum.

- Nie jest pusty, jest zawsze Lily. Mnie i tak nie chce. Nie zauważyła pani tego?

- Zauważyłam tyle, że nie jesteście z sobą tak blisko, jak powinniście. Ale pan może to zmienić. Jak sądzę, nie spędzacie razem zbyt dużo czasu.

- Mam mnóstwo pracy, muszę pilnować interesów.

- Są ważniejsze od syna, czy tak?

- Staram się, jak mogę.

- Ale, jak sądzę, te starania sprowadzają się wyłącznie do pieniędzy.

- Zapewniam mu dobre życie.

- Widziałam to dobre życie. Najnowszy komputer, drukarka, kamera cyfrowa.

- W porządku, wiem, uważa pani, że przywiązuję zbyt dużą wagę do pieniędzy. Ale na pieniądzach można polegać, one nie zdradzą, a co kupisz, należy do ciebie.

- I wtedy może pan mieć wszystko pod kontrolą.

- Zgadza się. - Mimo że taki bystry, nie dostrzegł pułapki, jaką na niego zastawiła.

- I tylko to się liczy? Władza?

- Czasami jest bardzo pomocna.

- Sądzę, że owo „czasami” w pana przypadku to przejaw fałszywej skromności - stwierdziła ostro. - Dzięki władzy zdobywa pan i ma kontrolę... no właśnie, tylko nad rzeczami? A może również ludźmi? Właściwie dlaczego pańska żona pana opuściła?

Rzucił jej ostre, nienawistne spojrzenie.

- Jak przypuszczam, za mało jej płaciłem.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami, a ona przeklinała własną głupotę.

Nie miała prawa nagabywać go o żonę. Dlaczego wciąż nie potrafi zapanować nad słowami? Powinna odszukać go i przeprosić. Dlaczego nie umie zachowywać się jak dojrzała kobieta?

Gdy po chwili zobaczyła go w drzwiach, spodziewała się najgorszego. Tymczasem on zapytał spokojnie:

- Możemy zacząć jeszcze raz?

- To dobry pomysł. Proszę zapomnieć o moim ostatnim pytaniu.

Nie miałam prawa...

- Zapomnijmy już. Pewnie wszystkie złe rzeczy, jakie pani o mnie pomyślała, są prawdą. Pani pierwszej to mówię, choć nie pierwsza pani je odkryła. Ale, tak na wszelki wypadek, gdyby się pani jeszcze nie zorientowała, mądrzej by było zachowywać się taktownie.

- A więc czuje się pan dotknięty? Rzucił jej ironiczne spojrzenie.

- Zdobycie kilku punktów przewagi dobrze mi zrobi.

- Wcale nie myślę źle o panu, tylko wydaje mi się, że starając się pomóc synowi, Zabrnął pan w ślepią uliczkę.

- To prawda, nie wiem, jak mu pomóc i jak z nim rozmawiać.

To, co mówiła pani o domu, ma sens, ale dokonałem tej zmiany w dobrej wierze.

- Chciałabym nadal pomagać Markowi, ale mogę tu zostać tylko do końca semestru. Zaraz potem wyjeżdżam. Obiecuję jednak, że będę w kontakcie z pana synem, jeśli pan pozwoli, rzecz jasna...

- Doceniam to.

- Pójdę na górę pożegnać się z nim, jak obiecałam.

- W porządku, potem odwiozę panią do domu.

- Nie ma takiej potrzeby, mogę zamówić taksówkę.

- Panno Wharton, naturalnie, że panią odwiozę - powiedział stanowczo.

Poszli razem na górę i zatrzymali się przed drzwiami chłopca. Evie zamiast zapukać, jak początkowo zamierzała, wpadła do pokoju z hukiem.

- Obudziłem się - usłyszała wystraszony głos Marka.
- Przyszłam się z tobą pożegnać. Jutro w szkole oddam ci płytę.
- Będzie pani jutro w szkole?
- Tak, trochę dłużej. - Ucałowała go w policzek.
- Do widzenia - uśmiechnął się i zarzucił jej ręce na szyję. Zaraz je jednak opuścił, bo dostrzegł ojca stojącego w drzwiach. - Cześć, tato.

- Mam zamiar odwiedzić pannę Wharton do domu. Dobranoc, synu.

Gdyby tylko mógł uśmiechnąć się do ojca i przestać być tak sztucznie grzeczny, pomyślała Evie.

- Przykro mi, że popsułem pani wieczór - powiedział, gdy siedzieli już w samochodzie.

- Zadzwoń do niego z domu.

- Jest szansa, że zrozumie?

- Myślę, że tak, jeśli powiem prawdę.

- Czy należy pani do tych uczciwych ludzi, którzy bez względu na okoliczności zawsze mówią prawdę?

Roześmiała się.

- Kłamstwo ma krótkie nogi, nauczyłam się tego, gdy miałam dziesięć lat. - W ciemności zobaczyła jego uśmiech.

- Ja nauczyłem się wielu rzeczy jeszcze wcześniej.

- Ale myślę, że uczciwość czasem się przecenia...

- To herezja!

- Nie, czasem zamiast niej lepiej wybrać uprzejmość. To już tutaj, jesteśmy na miejscu.

- Czy mógłbym na chwilę wejść na górę?

W tym momencie zadzwoniła komórka Evie.

- O, przepraszam, to pewnie Andrew.

- Może jeszcze uda się pani uratować ten wieczór. Już panią wypuszczam. Dobranoc.

Wcale nie była pewna, czy ma teraz ochotę na rozmowę z Andrew, ale nie pozostawało jej nic innego, jak wysiąść z samochodu. Justin natychmiast ruszył w ciemność nocy. Odebrała telefon, ale okazało się, że to pomyłka.

W poniedziałek Evie rozglądała się w szkole w poszukiwaniu Marka, ale nigdzie go nie mogła znaleźć. Okazało się, że jest przeziębiony. Wysłała mu więc mail z podziękowaniem za zdjęcia, a już wieczorem miała odpowiedź i kolejną porcję fotografii. Tak było przez kilka kolejnych dni. W końcu napisała:

„Nie zobaczymy się już przed moim odjazdem, ale obiecuję, że przyślę ci mail z każdego miejsca, w którym się zatrzymam.

Przenoszę się na razie do mojej chaty nad morzem. Przyślę ci kilka zdjęć, które zamierzam zrobić moim cyfrowym aparatem.

Postanowiłam się tego nauczyć".

Przez moment chciała zadzwonić do Marka i umówić się z nim na spotkanie, ale w końcu zdecydowała inaczej. Nie chciała zbyt przywiązywać do siebie chłopca.

Zastanawiała się, czy Justin nie poprosi jej, żeby ich odwiedziła przed wyjazdem, ale nie odezwał się ani słowem.

Nie oparła się jednak ciekawości i sprawdziła, co pisze się o nim w internecie. Potwierdziło się wszystko, co usłyszała od Lily. Faktycznie, Justin przejmował wszystko: firmy, ludzi, cały świat.

Zaczął od zera, ale przez piętnaście lat, dzięki ciężkiej pracy, zdolnościom i bezwzględności, stworzył prawdziwe imperium. W informacjach sięgających głębiej wstecz niż owo piętnastolecie były spore luki, ale łącząc wszystko w całość uzyskała obraz człowieka twardego, obojętnego na uczucia innych, pozbawionego choćby drobnych litościwych odruchów. Jednym słowem Justin, gdyby przypadkiem zbankrutował, miał zapewnioną pracę jako strażnik więzienny. Co za okropność! - pomyślała. Może i dobrze, że ten etap mego życia już się właśnie kończy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ostatniego dnia szkoły wszyscy uczniowie zostali zwolnieni do domu zaraz po lunchu, Evie nie miała jakoś apetytu, poza tym chciała jak najszybciej wyjść, bo czekała ją długa podróż.

- Widzę, że przygotowujesz się do ucieczki - powiedziała Debra.

- Nie nazwałabym tego ucieczką.

- Tylko to potrafisz. A dyrektor i ja właśnie układamy plan, jak by cię tu porwać, zamknąć w szafie i przetrzymać do następnego semestru.

- W takim razie lepiej będzie, jak szybko zniknę.

- Dostałaś to od dzieciaków? - Debra spojrzała na dużą kartkę z autografami uczniów. - Ale nie widzę podpisu Marka.

- Nie zdążył wrócić do szkoły, nie mogłam się z nim pożegnać. Z drugiej strony zaczął się do mnie zbyt mocno przywiązywać, więc może tak będzie lepiej. Chciałabym pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, że zostawiam go samego w nieszczęściu.

- Zrobiłaś, co mogłaś, a teraz zapomnij o wszystkim i ciesz się latem. Dokąd się wybierasz?

- Do mojego wiejskiego domku nad morzem, i to na parę tygodni.

- Z Andrew?

- Może wpadnie na trochę, ale ma mnie już chyba dość.

- Czasem ma dość, a czasem daje się wodzić za nos. Myślę jednak, że skusi go światło księżyca pełzające po falach, romantyczny nastrój, no i ty przede wszystkim.

- Mam nadzieję, że nie - powiedziała Evie, ale wiedziała, że głupio pozwoliła mu odejść. Był taki kochany i uprzejmy... Ale kto wie, może wszystko się jeszcze ułoży i znów będą razem.

Jechała nad morze z ciężkim sercem, ale nie powiedziała o tym Debrze. Domek odziedziczyła po wuju, który niedawno zmarł i zapisał jej wszystko, w tym długi. By je spłacić, będzie musiała sprzedać domek. Teraz jechała tam po to, by uprzątnąć wszystkie sprzęty i rzeczy, które nagromadziły się przez lata, a potem skontaktuje się z agencją nieruchomości.

Czuła ulgę, opuszczając zatłoczony, hałaśliwy Londyn. Na niebie świeciło piękne słońce, wokół uwodziły ją wiejskie pejzaże.

Przejechała niemal pięćset kilometrów, aż późną nocą koła wozu zachręściły na żwirze przed domkiem. Stał dosłownie nad samym morzem.

Była zmęczona długą podróżą, więc postanowiła się od razu położyć. Dom był wyziębiony, ale rano zrobi się dużo przyjemniej. A już całkiem miło zrobi się, gdy przyjedzie Andrew. Co prawda postawił swoją wizytę pod znakiem zapytania, ale tylko dlatego, że był na nią zły. Nie, to nie może się tak po prostu skończyć, pomyślała. A jeżeli tak będzie, to tylko i wyłącznie z winy Justina Dane'a. Nie chciała obwiniać Marka. Biedny chłopak i tak już dźwigał na swoich barkach ciężar ponad siły.

Obawiała się, że dołożyła się do tego, wyjeżdżając bez pożegnania. Myślała też o walce, jaką przyszło jej stoczyć z Justinem. Wcale tego nie chciała, ale z tym człowiekiem nie dało się inaczej. Gdyby miał odrobinę taktu, wpadłby do szkoły i zaprosił ją, żeby mogła pożegnać się z jego synem. Widocznie nie interesowały go jego uczucia.

Ogarnęło ją przygnębienie. Brakowało jej Andrew, bardziej niż się tego spodziewała. Ale jutro rano wszystko będzie wyglądać inaczej, pomyślała, i z tą myślą zasnęła.

Następnego dnia pojechała do wioski na zakupy, a potem zaczęła porządki. Dom musiał sprawiać jak najlepsze wrażenie na potencjalnych kupcach.

Evie starała się zignorować fakt, że telefon milczał jak zaklęty, a co za tym idzie, po Andrew nie było nawet śladu. Wieczorem usiadła przed domkiem i patrzyła na zachód słońca. Czuła się samotna.

Z rozmyślań wyrwał ją odgłos samochodu zjeżdżającego żwirową drogą. A więc przyjechał, pomyślała zachwycona, choć zdziwiło ją, że wcześniej nie zadzwonił. Pewnie gnały go uczucia.

Wybiegła na drogę i popatrzyła w kierunku nadjeżdżającego samochodu.

- To pan? - krzyknęła zszokowana do wysiadającego z wozu Justina. - Co pan tu robi?

Złagodniała, gdy zobaczyła Marka.

- Byliśmy tu w okolicy i pomyśleliśmy sobie, że miło by było panią zobaczyć - powiedział Justin.

- W tej okolicy? Przecież to kompletne odludzie!
- To nieco bardziej skomplikowane, niż pani sądzi.
- Proszę, wejdźcie, a pan mi opowie o tej strasznej komplikacji. -

Starła się być uprzejma, ale w duchu nie była zadowolona z tych odwiedzin. Justin już raz zepsuł jej spotkanie z Andrew i najwyraźniej miał zamiar zrobić to powtórnie.

- Wiem, o czym pani myśli. Tak, nie powinienem był przyjeżdżać bez uprzedzenia.

- Mark zna przecież mój adres mailowy, więc...

- Ale wówczas mogłaby pani powiedzieć „nie” - wpadł jej w słowo.

- Postąpił pan nierozważnie, przyjeżdżając tu.

- Zrobiłem to dla Marka. Był bardzo przygnębiony, że nie zdążył się z panią pożegnać. Miał do mnie żal, że na czas nie zawiozłem go do szkoły. Jak przyjechaliśmy, już pani nie było.

- I puścił się pan za mną w pogoń...

- Nie będę przypominał, kto mi tłumaczył, że powinienem częściej wsłuchiwać się w syna.

- Nie ma co, sprytu panu nie brakuje. Ale skąd pan wiedział, gdzie mnie szukać?

- Opowiadała pani Markowi o swoim domku nad morzem.

- Ale nie podałam adresu.

- Trochę popytałem tu i tam... - próbował się jakoś wymigać, widząc jej oburzenie.

- Kogo? - spytała krótko.

- Pojechałem do pani do domu i jeden z sąsiadów okazał się bardzo pomocny.

- A więc tropi mnie pan jak przestępcę?

- Musiałem się jakoś dowiedzieć, dokąd pani pojechała. Rzucili sobie piorunujące spojrzenia.

Dla Evie wszystko było jasne. Nie znosiła, gdy ktoś traktował ją jak zdobycz, na którą poluje się dla własnej wygody. Nie chciała jednak robić przykrości Markowi, więc umilkła.

- Tato - zawołał uszczęśliwiony chłopiec - jesteśmy nad samym morzem! To cudowne miejsce! Naprawdę należy do pani?

Evie kiwnęła głową.

- Można tak powiedzieć. Ale chodźmy coś zjeść, pewnie jesteście głodni.

- Bardzo dziękuję, ale jest już późno i powinniśmy rozejrzeć się za noclegiem.

- Wykluczone. Nigdzie was nie puszczę o tej porze. Uśmiechnął się do niej czarująco.

- Proszę się o nas nie troszczyć, przyjechaliliśmy bez zaproszenia i nie chcemy sprawiać kłopotu.

- To żaden kłopot. Musicie być po prostu cicho i robić, co mówię.

Evie spojrzała sceptycznie na Justina, który aż promieniał. Znowu postawił na swoim, pomyślała, ale dla dobra Marka gotowa była wybaczyć mu prawie wszystko.

Ilość bagaży wskazywała na to, że planują zatrzymać się na dłużej, lecz dla niej owo „dłużej” trwać mogło tylko do chwili, aż pojawi się Andrew.

- Nie ma tu żadnych luksusów, do których przywykliście - ostrzegła.

- Chce mnie pani zniechęcić?

- A czy to w ogóle możliwe?

Znowu wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tu jest super! - cieszył się Mark. - I ten kominek... Wszystko jak z obrazka.

- Kominek jest zamiast ogrzewania. Wuj nie lubił nowoczesnych urządzeń.

- A który pokój nam pani odstąpi? - zapytał Justin, gdy wchodzili na górę.

- Gościnny, bo ma dwa pojedyncze łóżka. Zdażyłam tam już posprzątać, trzeba tylko powlec pościel. Proszę - położyła na łóżku poszwy, a potem zwróciła się do Marka: - Dajmy się tacie wykazać, a my przygotujemy coś do zjedzenia. - Wychodząc, rzuciła Justinowi wyzywające spojrzenie.

Uniósł na to brwi, ale nic nie powiedział.

- Ciekawe, w co gra twój tata? - szepnęła do Marka, gdy byli już w kuchni.

- Jak sobie coś postanowi, to nie ma rady. Obiecał mi, że będę mógł z panią porozmawiać.

- Nawet jeśli oznaczało to tropienie mnie przez pół kraju i stracenie całego dnia pracy?

- Nie jest tak źle. Wziął z sobą laptopa, co godzinę sprawdza pocztę i wysyła maile. Ma też komórkę, więc wszystko jest pod kontrolą.

- Co masz na myśli? Jak długo zamierza tu zostać?

- Nie wiem, ale to chyba nie ma znaczenia, bo w ciągu pięciu minut potrafi załatwić mnóstwo spraw.

- Z tego wynika, że nie ma zamiaru zmienić trybu życia, a jedynie miejsce pracy. - Gdy Mark kiwnął głową, powiedziała stanowczo: - Skoro tak, to niech stąd wyjeżdża.

- Nie może pani tego zrobić - szepnął chłopiec.

- Oczywiście, że mogę, i co więcej, zrobię to.

- Wow! - Mark był pod wrażeniem. - Proszę mi coś obiecać.

- Co takiego?

- Że kiedy mu to powiesz, będę mógł być przy tym.

Evie roześmiała się.

- Zgoda, obiecuję, będziesz mógł się napawać tą chwilą.

Czuli się jak spiskowcy, gdy w drzwiach pojawił się Justin z wyrazem triumfu na twarzy.

- Na górze wszystko gotowe, może pani iść i sprawdzić.

- A czemu jest pan taki zadowolony?

- Proszę pójść i zobaczyć.

Rzeczywistość przeszła jej najśmielsze oczekiwania. Łóżka były perfekcyjnie pościelone, a ubrania wisiały w szafie. Justin wyraźnie czekał na jej reakcję.

- Dobra robota - pochwaliła. - Czy równie dobrze radzi pan sobie w kuchni?

- Proszę mnie wystawić na próbę.

- W porządku, rozważę tę propozycję.

Okazało się, że Justin także i na tym polu nie ma się czego wstydzić. Przygotowane przez niego frytki i kiełbaski były naprawdę smaczne.

Po kolacji Evie wskazała na zlewozmywak.

- Świetnie, a teraz...

- Ja przygotowałem jedzenie - obruszył się Justin.

- To prawda, tato, ale my się wprosililiśmy - przypomniał Mark.

- W takim razie ja pozmywam, pani powyciera, a Mark odstawi rzeczy na miejsce. Gdzie jest płyn do zmywania?

- Ja pozmywam, tylko żartowałam - roześmiała się Evie.

W końcu zrobili to jednak wszyscy razem i nawet było zabawnie.

Potem Mark chciał pooglądać telewizję i bardzo się zdziwił, gdy się okazało, że ma do wyboru jedynie cztery programy.

- To prehistoria!

- Mark, tak nie można!

- Ma rację, dla niego to prawdziwe średniowiecze.

Za oknem zaczął padać deszcz. Wyjrzeni na zewnątrz. Lało jak z cebra.

- O raju... - zmartwił się Mark.

- Do jutra na pewno przejdzie - pocieszyła go Evie. - Teraz idź już spać.

- A jutro będę mógł się kąpać?

- Nie jesteś już chory?

- Nie przywiózłbym go tu chorego - zaprotestował Justin. -

Słyszałeś, co powiedziała panna Wharton? Na górę i do łóżka.

- Panno Wharton, czy mogę do pani mówić Evie?

- Mark!

- Nie jestem już jego nauczycielką. Czemu nie?

- Bardzo za niego przepraszam.

- Nie ma za co - ziewnęła. - Chyba też już pójdę spać. To powietrze działa na mnie usypiająco.

Rozebrała się i wśliznęła do łóżka. Próbowwała jeszcze coś przeczytać, ale oczy same jej się zamknęły.

Zegar wybijał właśnie drugą, gdy obudziły ją jakieś odgłosy. Narzuciła szlafrok i zeszła na dół. Tak jak przewidział Mark, Justin siedział przed laptopem i rozmawiał przez komórkę.

- Przepraszam, że nie odebrałem po południu telefonu, ale byłem bardzo zajęty - tłumaczył się komuś.

Wyczuła w jego głosie napięcie. Poszła do kuchni i po chwili wróciła z dwoma kubkami gorącej herbaty.

- Bardzo dziękuję i przepraszam, że panią obudziłem, ale muszę jakoś nadażyć z pracą.

- Nieźle się pan przygotował do tego wyjazdu... Naprawdę dziwię się, że zdecydował się pan na taką podróż. Ile mógł pan zarobić w tym czasie, ile nawiązać nowych kontaktów...

- To inni szukają ze mną kontaktów.

- Ależ ty jesteś arogancki! - powiedziała z rozbawieniem, przechodząc bez zbędnych ceregieli na ty. - Zawsze może znaleźć się ktoś większy od ciebie, z kim chciałbyś zrobić interes, nie sądzisz?

Natychmiast podchwycił jej ton.

- Bywa i tak, ale zostawmy biznes. Ciekawi mnie, dlaczego od razu nie powiedziałaś mi, jak bardzo jesteś zaskoczona faktem, że postawiłem dobro Marka na pierwszym miejscu. Zaraz, nie odpowiadaj, może sam zgadnę? - Udał głęboki namysł. - Już wiem! Łatwiej jest mieć o mnie złe zdanie.

- Przecież nic takiego nie mówiłam!

- OK, nie mówiłaś, ale czyżbyś nie miała o mnie fatalnej opinii?

- Prawda, miałam, ale uległa ona... pewnej modyfikacji, kiedy tu przyjechałeś. Że też chciało ci się tłuc taki kawał drogi... To ci daje kilka punktów. Z drugiej jednak strony wciąż traktujesz ludzi jak pionki na szachownicy.

- Ja?

- Dobrze wiesz, że to prawda.

- Panno Wharton...

- Panno Wharton?

- Myślałem, że tak pani się nazywa?
 - Czemu nie po prostu Evie?
 - Nie otrzymałem pozwolenia.
 - Oczywiście, przecież Mark o to prosił.
 - On dostał zgodę, ja nie.
 - Poza tym zaczęłam mówić ci po imieniu bez zbędnych ceregieli, więc...
 - Kobiecie wolno.
- Roześmiała się.
- Czy to możliwe, żeby w dzisiejszych czasach facet był aż tak staroświecki? - Wbrew swojej woli pomyślała, że jest w tym coś czarującego. - Proszę mówić do mnie Evie. I jeszcze jedno. Możecie zostać tu jakiś czas, ale musicie być przygotowani, że poproszę nagle, abyście wyjechali. Spodziewam się kogoś.
 - Andrew?
 - Tak, aczkolwiek nie jest to twoja sprawa.
 - A kiedy przyjeżdża?
 - Tego nie jestem pewna, więc kiedy dowiem się, że jest w drodze, będziecie musieli wyjechać. Czeka mnie z nim poważna rozmowa.
 - Pewnie chodzi o tamten wieczór.
 - Między innymi.
 - Ale przecież wtedy wszystko mu wyjaśniłaś...
 - No cóż, to nie takie proste.
 - Dzwonił jeszcze potem do ciebie?

- Ja dzwoniłam, jak zwykle. Justin nie skomentował tych słów.

- Jesteś w nim zakochana?

- To nie twoja sprawa.

- Oczywiście, ale skoro już cię spytałem, to chyba możesz mi odpowiedzieć. Wtedy tak łatwo go spławiłaś... Może po prostu nie jesteś pewna swych uczuć? Pogubiłaś się w tym związku?

Evie ze zdziwieniem zauważyła, że rozmowa z Justinem jest znacznie ciekawsza niż z Andrew. Justin zawsze mówi szczerze i klarownie, dąży prosto do celu, nie bawi się w niepotrzebne uniki czy wynikające z tak zwanego dobrego wychowania niedopowiedzenia.

- Wydaje mi się, że jestem zakochana w Andrew.

Justin zwrócił uwagę na owo „wydaje mi się”, jednak nie skomentował tego.

- Chcesz, żebyśmy jutro wyjechali?

- Tego nie powiedziałam.

- Ale przecież kiedy mnie tu zastanie, pomyśli, że bawisz się z nim w ciuciubabkę. Jasne, wiem, że powiesz mu prawdę, tylko czy ci uwierzy?

- Naturalnie, ufamy sobie. Poza tym na pewno wcześniej zadzwoni.

- A jeśli jednak przyjedzie bez zapowiedzi?

- To zupełnie nie w jego stylu. Wszystko najpierw planuje. Jest solidny i niezawodny.

- Czy to nie jest trochę nudne?

Evie spojrzała na niego z niedowierzaniem. Tych samych słów użyła w rozmowie z Debrą.

- Nie będę rozmawiać z tobą o Andrew.

- Hm... To poważna decyzja - powiedział Justin z namysłem.

Spojrzeni sobie prosto w oczy. Evie uświadomiła sobie, że wcześniejsze wrażenie jej nie myliło: potrafił być czarujący.

- Jestem naprawdę pod wrażeniem twoich umiejętności. To ścielenie łóżek, gotowanie... Mama musiała nieźle nad tobą popracować. - Gdy w jednej chwili zeszywniał, dodała zdezorientowana: - Hej, co się stało? To był komplement dla twojej mamy!

- Nie trudź się, nigdy jej nie znałem.

- Tak wcześnie zmarła?

- Tak jakby... Zaraz sprzątnę swoje rzeczy i wyłączę laptopa.

- Justin, zrobiłam coś nie tak? Uraziłam cię?

- Skądże, Evie. - Rozluźnił się. - Chyba już przestało padać?

- A nie mówiłam?

Zauważył szelmowski błysk w jej oczach.

- Jeszcze kilka takich przypadków, a uwierzę, że potrafisz rzucać urok.

- Może i potrafię. A teraz zostawiam cię z tą zagadką. Aha, zabraliście kąpielówki? Bo może jednak nie planowałeś tu dłuższego pobytu?

- Oczywiście, że zabrałem. Wiedziałem, że pozwolisz nam tu zostać. Potrafię przekonywać - stwierdził z kamienną miną.

- Ale zarozumialec... Czy zdarzyło się choć raz, że ktoś tak skutecznie ci się przeciwstawił, abyś musiał zrezygnować ze swojego planu?

- Ostatni, który tego próbował, został połknięty przez moją firmę, ale kosztowało mnie to więcej, niż zakładałem.

- Nie dość, że przejął czyjąś firmę, to jeszcze musiał zapłacić... Prawdziwa katastrofa! - wykrzyknęła, udając przerażenie.

- Facet wydusił ze mnie więcej, niż planowałem, ale i tak wyszedłem na swoje. Lecz to w sumie prosta gra. Musisz wiedzieć, jak bardzo dana firma jest dla ciebie ważna i jak daleko możesz się posunąć. Zdarza się nawet, choć rzadko, że kupuję coś powyżej ceny rynkowej. Chodzi o to, by znów wygrać, czyli o podtrzymanie renomy zwycięzcy. Wygrywanie ma swoją cenę, lecz nadal jest wygrywaniem.

- Każdą cenę?

- To zależy, jaki masz cel. Liczysz, ile musisz stracić, by potem zyskać jeszcze więcej. To prosta matematyka. Bywa jednak, że coś warte jest wszystkich pieniędzy... i jeszcze więcej.

- Co na przykład?

- Zaufanie i uczucie mojego syna.

Zaskoczył ją tym wyznaniem. Źle go oceniła! Syn był dla niego najważniejszy na świecie. To wszystko zmieniało. Pojawiła się realna szansa, że będzie mogła polubić Justina.

- Potrzebuję jednak twojej pomocy - mówił dalej. - Dlatego tu przyjechałem. Jesteś mi niezbędna, bym zyskał jakąkolwiek szansę.

Poczuła się pionkiem na jego szachownicy.

- I wyliczyłeś sobie, że opłaca ci się popracować na pół gwizdka przez parę dni? Przepraszam bardzo, ale gdzie w tym wszystkim jestem ja?

- Już powiedziałem, jesteś mi niezbędna.

- Zdajesz sobie sprawę, że może cię to drogo kosztować? -

Polubiła te słowne pojedynki z Justinem.

- Rozumiem. - Uniósł brwi. - Od razu więc powiedz co, jak i za ile, żebym mógł się przygotować.

- Aha... - Zaniepokoiło ją tak łatwe zwycięstwo z Justinem Dane'em. Cofał się przed atakiem? - W takim razie odwołuję te słowa i idę spać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego ranka Evie wyjrzała przez okno i odetchnęła z ulgą. Spełniła się obietnica, którą dała Markowi, bo zapowiadał się piękny dzień.

Chłopiec wychylił się z sąsiedniego okna i na znak triumfu uniósł oba kciuki. Odpowiedziała mu tym samym gestem.

Po chwili spotkali się wszyscy troje w kuchni. Evie była pod wrażeniem, gdy zobaczyła Justina w szortach i w koszulce. Jeszcze bardziej zaszokował ją, kiedy pokłonił się przed nią jak przed królową.

- Mark nalegał, żebym to zrobił, gdyż uznał cię za czarodziejkę, która przegnała deszcz i sprowadziła słońce.

Evie zaśmiała się uroczo.

- Dość już tego podlizywania! Chodźcie coś zjeść.

- A nie moglibyśmy iść najpierw na plażę? - zapytał Mark.

- Najpierw to powinniśmy zrobić zakupy - zaprotestował Justin.

Wyprawa do miejscowego sklepu odkryła przed nią nowe, nieznane jej dotąd oblicze Justina. Nie tylko umiał sprzątać i gotować, ale również robić zakupy.

Znał się na rzeczy. W pewnej chwili przemknęła jej też przez głowę szalona myśl, że ma zgrabne nogi.

- Białe czy czerwone? - rzucił przez ramię, gdy stali przed półką z winami.

- Białe - zdecydowała.

- Możemy już iść na plażę? - marudził Mark. - Jest tak gorąco.

- Zgoda, zrobimy kanapki i idziemy.

W domu naszykowali kosz piknikowy, potem drogą wijącą się wśród skalnych bloków ruszyli na plażę. Po chwili rozpostarła się przed nimi półkolista, złocista plaża otoczona wysokimi skałami. Była pusta. Evie miała na sobie skąpe bikini, które kupiła z myślą o Andrew. Było jej trochę głupio, ale co miała zrobić?

Mark ledwie coś skubnął i oświadczył, że idzie się kąpać.

- Powinieneś jeszcze coś zjeść - zaprotestowała.

- Jasne, a potem mi powiesz, że po dużym posiłku nie można wchodzić do wody. Nie ma mowy! - I już go nie było.

- Chodźmy! - Justin rozebrał się i popędził za synem.

Więc i ona zrzuciła z siebie ubranie i ruszyła za nimi, rozkoszując się delikatnym wiatrem i dotykiem słońca na skórze. Cudownie było dać nura do krystalicznie czystej, chłodnej wody.

Wypłynęła na powierzchnię i zobaczyła, że Justin i Mark szykują się, żeby ją ochlapać. Z okrzykiem na ustach znowu się zanurzyła.

- Poddaję się! - zawołała i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Jeszcze przez chwilę chlapali się nawzajem, a potem

Evie wyszła z wody, żeby Justin mógł pobawić się sam z synem. Wkrótce na brzegu pojawił się Mark, wołając, że chce mu się jeść, a Justin został jeszcze trochę, żeby sobie popływać.

- Jestem taki szczęśliwy, że tu przyjechaliśmy - powiedział Mark. - I tata też.

- Powiedział ci to?

- Nie, on nigdy tego nie mówi, ale jest wyjątkowo miły. Robi to dla ciebie.

- Dla mnie? Chyba raczej dla ciebie. Nawet nie wiesz, jaki to przyjemny widok, kiedy uśmiecha się do ciebie z taką miłością. Ale gdzie on się podział?

- Jest tam! - Mark podał jej lornetkę.

- Daleko - powiedziała z uznaniem.

Po chwili zobaczyła, jak Justin wspiął się na skałę i skoczył do wody. Zatoczył koło i znowu wspiął się na skałę. Jego muskularne ciało lśniło w słońcu, a dumnie uniesiona głowa nadawała mu władczy, niemal książęcego wyglądu. Bardziej przypominał teraz sportowca niż biznesmena.

- Evie? - Mark pociągnął ją za rękę.

- Tak?

- Wołam cię i wołam, a ty nic.

- Przepraszam, zamyśliłam się. - Położyła się na rozgrzanym piasku.

Nie mogła się skupić na jedzeniu, bo przed oczami wciąż miała muskularne ciało Justina lśniące w promieniach słońca. Otworzyła oczy i zobaczyła, że właśnie zbliża się do nich.

- Cudownie się czuję - powiedział, sadowiąc się między nimi. - Dawno już nie ćwiczyłem.

- Ale chyba odwiedzasz czasem siłownię.

- Teoretycznie tak, ale zawsze jest tyle pracy, że najczęściej przesuвам to na święty nigdy.

- *Domani, domani, sempre domani!* - zaśmiała się.

- Wiem, co to znaczy! - krzyknął Mark. - Jutro, jutro, zawsze jutro!

- Świetnie! Widzisz, mówiłam, że to jeden z moich najlepszych uczniów.

- Idę na poszukiwanie skarbów - powiedział Mark.

- Tylko nie odchodź za daleko - zawołał za nim ojciec. - Jest taki radosny i swobodny. Bardzo ci dziękuję, Evie.

- Nie wyjeżdżałeś z nim nigdy?

- Owszem, jeszcze z jego matką, ale do parków rozrywki.

Wydawało nam się, że to odpowiednie miejsce dla dzieci. Ale teraz jest naprawdę szczęśliwy...

- A ty, gdy byłeś mały, jeździłeś z rodziną nad morze?

Milczał długą chwilę, zapatrzony w dal. Było oczywiste, że nie chce odpowiadać na to pytanie. Evie przyszło do głowy, że gdyby poznała przyczynę tego milczenia, łatwiej by zrozumiała zmienne nastroje Marka.

- Co on tam robi? - zapytał Justin, wpatrując się w syna, który stał na skale zapatrzony w wodę.

- Pewnie patrzy na kraby albo rozgwiazdy. Jak byłem mała, też tak się im przyglądałam.

- Czy ta plaża to wasza własność rodzinna?

- Należała do Joego, brata mojego dziadka. Był naprawdę cudownym człowiekiem. Zaopiekował się mną po śmierci moich rodziców. Miałam wtedy dwanaście lat. Dał mi coś więcej niż dom... - Zamyśliła się na chwilę. - Kochałam rodziców, ale zawsze ściśle przestrzegali wszelkich konwenansów. A Joe był ich zaprzeczeniem. Przy każdej okazji podkreślał, że dróg do celu jest wiele i trzeba sobie wybrać tę najwłaściwszą. Jego motto „wszystkiego trzeba spróbować” będzie mi towarzyszyć do końca życia.

Justin oparł się na łokciu i patrzył na nią.

- Założę się, że nastolatce bardzo się to podobało.

- To było wspaniałe, jak światło w tunelu. Powtarzał, że największym przestępstwem jest robić to, czego oczekują od nas inni. Zawsze mnie podjudzał, żebym obraziła co najmniej jedną osobę dziennie.

- O, to dlatego jesteś taka...

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. Nigdy się do tego nie stosowałam.

- A ja?

- Są ludzie, którzy na to zasługują. Było mi smutno, kiedy musiałam wyjechać do college'u i zostawić wuja. Chciałam nawet zrezygnować z dalszej nauki, ale tak się wściekł, że omal mnie nie rozszarpał na kawałki. Powiedział, że jeśli nie wykorzystam swojej szansy, mam mu się nie pokazywać na oczy. Ten dom to było dla mnie najcudowniejsze miejsce na świecie. Niedawno wuj zmarł i zapisał mi to wszystko w spadku, ale wkrótce się okazało, że zostawił spore długi. Dopiero teraz się dowiedziałam, że był hazardzistą. Pewnie kiedy wyjechałam, z samotności wpadł w nałóg. Nie ma rady, muszę sprzedać dom. Przyjechałam tu po raz ostatni, żeby zrobić porządki i pozabierać swoje rzeczy.

- Chcesz sprzedać ten dom?

- Nie mam innego wyjścia... - Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zadzwoniła jej komórka. - Ach, to ty Sally... - Długo rozmawiała o korektach, egzemplarzach autorskich i temu podobnych sprawach, aż wreszcie się rozłączyła. - To był mój wydawca. Chodziło o książkę, która w przyszłym miesiącu idzie do druku.

- Andrew w ogóle do ciebie nie dzwoni?
- Jestem tu dopiero dwa dni.
- I jeszcze nie zadzwonił?
- Panie Dane, proszę skończyć z tym przesłuchaniem.
- Powiedz tylko: tak lub nie. Gdybym kochał kobietę,

dzwoniłbym do niej codziennie.

- Mieliliśmy ostatnio trochę problemów, więc nic dziwnego, że nie dzwoni. Ma przyjechać, żebyśmy sobie wszystko mogli wyjaśnić.

- Wyjaśnić? To tak, jakby się chciało w skwaśniałym winie odnaleźć niegdysiejszy bukiet zapachów. Znaczy to tylko tyle, że to nie jest dla ciebie odpowiedni facet.

- Pozwolisz, że sama o tym zdecyduję.

- Jasne, ale powiedz, czemu go po prostu nie zostawisz? Boisz się, że zostaniesz starą panną?

- Idź do diabła! - syknęła Evie.

- No cóż, rozumiem, nie jesteś już podlotkiem. Ile masz lat?

Czterdzieści?

- Trzydzieści! - krzyknęła oburzona.

Justin wybuchnął śmiechem.

- Mam cię! Założyłem się sam z sobą, że powiesz mi to jeszcze dzisiaj. No tak, trzydziestka to nie żarty, a życie ucieka! - Roześmiał się raz jeszcze, widząc jej skwaszoną minę. - Faceci rozchodzą się jak świeże bułeczki, a tobie nikt nie zaoferował towarzystwa na zawsze. Zrobisz więc wszystko, wybaczysz mu najgorsze postęпки, byle tylko go nie stracić.

- To nie tak. To moje postępowanie jest przyczyną naszych problemów.

- Chcesz powiedzieć, że wszystko przez ten jeden nieudany wieczór?

- A co byś pomyślał, jak byś zareagował, gdyby jakaś kobieta tak cię potraktowała?

- Mnie nikt tak nie traktuje.

- Jesteś największym arogantem, jakiego poznałam w całym moim długim, jak to uprzejmie zauważyłeś, życiu.

- Tylko przedstawiam fakty. Nie mogł pewnie znieść, że tamtego wieczoru odstawiłaś go na boczny tor.

- Nie chodzi tylko o tamten wieczór, ale już koniec, nie chcę o tym rozmawiać.

- Bo jest twoim ideałem, a jego głos sprawia, że szybciej bije ci serce. I jest mężczyzną, o którym...

- Już dobrze, daj spokój - powiedziała, próbując zachować powagę. - Tak jak mówiłeś, wisi nade mną widmo staropanieństwa i muszę coś z tym zrobić.

- Jasne, już ci wierzę. - Z wielkim zainteresowaniem zmierzył ją od stóp do głów.

Po raz pierwszy dał jej odczuć, że podoba mu się jako kobieta, ale zaraz sobie przypomniała, że chodzi mu wyłącznie o Marka. Gotów był podjąć każdą walkę, byle tylko osiągnąć swój cel. Postanowiła więc trochę się z nim podrażnić.

- Cóż, prawda jest taka, że stoję na życiowym rozdrożu.

Wolność jest cudowna, ale każda kobieta chce się kiedyś ustatkować. Wiąże się z tym jednak poważne ryzyko. Można wylądować miękko, można też się roztrzaskać, dlatego wybór odpowiedniego faceta ma tak wielkie znaczenie. Ważne jest też zabezpieczenie finansowe, a kiedy już spłacę długi po wuju, niewiele mi zostanie.

- Chcesz więc wyjść za niego dla pieniędzy?

- Nie o to chodzi. Sam przecież powiedziałaś, że Andrew jest moim idolem. Coś w tym jest... - Roześmiała się.

- Prowadzisz dziwną grę. Dlaczego nie jesteś w takim razie w Londynie u jego boku?

- A jak byś zareagował, gdyby kobieta się na ciebie rzuciła?

Choć ty przerabiałeś to już pewnie wiele razy!

- Tak myślisz?

- Z takimi pieniędzmi! Jasne, że na ciebie polują. - I nie było w tym ani krzty przesady, pomyślała Evie, spoglądając na Justina. Był naprawdę przystojny, ale nie wywoływał w niej większych emocji. Wolą facetów w typie Andrew. Nie był przystojniakiem, ale za to czuła w nim pokrewną duszę. Andrew był inteligentny, odczytany i wrażliwy, a Justin... też inteligentny, choć w zupełnie inny sposób. Pasjami wczytywał się w notowania giełdowe, natomiast po maturze pewnie nie przeczytał ani jednego wiersza. No i był przebiegły jak lis, szczególnie gdy chodziło o jego interesy, nerwy miał jak postronki, a wrażliwy był jak hipopotam.

- Spójrzcie, co mam! - zawołał Mark, biegnąc w ich stronę. -

Złapałem kraba!

- Brawo! - powiedział Justin.

- Śliczny! Dawniej też tu takie łapałam.

- I co z nimi robiłaś?

- Rozglądałam się za kimś, komu mogłabym je wrzucić za koszulę.

- Naprawdę!?

- Synu, zapomnij o tym! - pogroził mu Justin.

- Taki wielki tata, a się boi! - zachichotał Mark.

- Co z tego, że wielki? Boi się, i już. Ale jak mi wrzucisz tego kraba za koszulę, to rozprawię się i z tobą, i z Evie, tą podżegaczką!

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem. To był naprawdę wspaniały dzień.

Jednak już po chwili Evie drgnęła nerwowo, bo znowu zadzwoniła jej komórka. I znowu nie był to Andrew, lecz jakaś kobieta, która była zainteresowana kupnem domu i chciała go natychmiast obejrzeć.

Podczas gdy Evie tłumaczyła jej, jak ma dojechać, Justin wyjaśnił Markowi, w czym rzecz:

- To była agentka nieruchomości. Jacyś państwo Nicholsonowie przyjadą za dwie godziny obejrzeć posiadłość. - Gdy Evie odwróciła głowę, aby nie zauważyli, jak bardzo jest jej przykro, spytał: - To chyba dobra wiadomość?

- Tak. - Kiwnęła głową, chcąc przekonać samą siebie. - Muszę iść i trochę ogarnąć dom.

Wrócili wraz z nią i wspólnie zabrali się do błyskawicznych porządków. Nicholsonowie, zamożne małżeństwo w średnim wieku, przyjechali pół godziny za wcześnie, Wkroczyli do domu, jakby już byli jego właścicielami.

- Czyż to nie cudowne? - zaczęła pani Nicholson. - Spójrz tylko, kamienna podłoga! Jakie to romantyczne! I prawdziwy kominek! Jaki piękny... Aż szkoda, że trzeba go będzie usunąć.

- Dlaczego - spytała Evie - skoro jest taki piękny?

- Bo to niehigieniczne - powiedziała z naciskiem, Najwyraźniej była bardzo przywiązana do własnych poglądów.

Obeszli cały dom, na przemian krytykując i popadając w zachwyty. Czoło Justina coraz bardziej się marszczyło w tłumionej irytacji.

- Wszystko jest wspaniałe, ale wszystko trzeba zmienić - szepnął jej do ucha. - Do diabła z nimi!

- Zakochaliśmy się w tym miejscu - oznajmiła wreszcie pani Nicholson, a jej mąż pokiwał w milczeniu głową.

- Ale cena jest zawyżona... Sądzę, że pani trochę opuści?

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

Evie zastanawiała się przez moment, kto to powiedział.

Wystarczył jeden rzut oka na Justina, a wszystko było jasne. Wyglądał jak rasowy biznesmen, który przystępuje do ubicia korzystnego interesu. Wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- Musicie się państwo skontaktować w tej sprawie z wykonawcą testamentu wuja pani Wharton, jest bowiem prawnie zobligowany do uzyskania najwyższej możliwej ceny.

- Ależ jestem pewna...

- Jestem pewny, że panna Wharton nie może obniżyć ceny.

- Panna Wharton może z pewnością pójść na ugodę...

- Panna Wharton może wręczyć państwu numer telefonu do prawnika.

Niezadowolona pani Nicholson zapisała numer i po chwili małżonkowie odjechali swoim luksusowym samochodem.

Evie spojrzała na Justina.

- Nie posunąłeś się za daleko?

- Nie sądzę. To okropni ludzie. Poza tym nie mogłem pozwolić, żeby cię wykiwali.

- Bardzo ci dziękuję, ale kiedyś i tak będę musiała sprzedać ten dom - powiedziała ze smutkiem.

- A nie chcesz? - spytał Mark. Zdołała tylko pokręcić głową.

Wkrótce zadzwonił prawnik, żeby ich poinformować, że państwo Nicholson złożyli ofertę, która jednak okazała się zbyt niska w stosunku do ceny rynkowej.

- Pewnie zmiękną, jak trochę ich przetrzymamy - po wiedział Justin. - Chyba że zależy ci na czasie?

- Nie spieszy mi się aż tak bardzo.

- I możemy tu jeszcze zostać? - zapytał Mark.

- Tak - kiwnęła głową.

- Hura! - wykrzyknął uszczęśliwiony. - Hura!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Evie była pewna, że Markowi szybko znudzą się wakacje nad morzem z dala od wszelkich luksusów i atrakcji, jakie zapewniają nowoczesne ośrodki, ale tak się nie stało. Zapał i entuzjazm go nie opuszczały. Widziała w nim siebie sprzed lat.

W ciągu następnych dni tak dobrze się bawili, że zapomniała o swoich problemach. Ponieważ nikt inny nie zgłosił chęci kupna domu, Evie cieszyła się tym darowanym czasem. Robili wycieczki krajoznawcze, a Mark z fascynacją słuchał opowieści o piratach. Kiedy odwiedzili Muzeum Piratów, był w siódmym niebie. Kupiła mu książkę „Zemsta Czarnego Symeona”, którą czytał w drodze powrotnej. Po kolacji zasnął nad nią. Następnego dnia Justin wynajął rybaka, który wypłynął z nimi kutrem na otwarte morze. Po całym dniu na wodzie wszyscy byli ledwie żywi. Evie obserwowała Justina z rosnącym zainteresowaniem. Zadziwiał ją coraz bardziej. Był naprawdę miły. Miała wrażenie, że między nim a synem naprawdę dobrze się układa. Tylko czasem zdawał się nieobecny i uciekał gdzieś myślami.

Wieczorem zadzwonił telefon. Evie podniosła leniwie słuchawkę, ale po chwili uśmiech zamarł jej na twarzy. Rozmowa nie trwała zbyt długo.

- To był prawnik wuja Joego. Nicholsonowie podnieśli cenę, a on ją zaakceptował. Chcą jak najszybciej podpisać umowę i przejąć dom.

Dopiero świtało, gdy Justin zszedł na dół. Miał zamiar trochę popływać. Wstawał kolejny, gorący dzień. Nagle zauważył, że nie jest sam. Na sofie leżała zwinięta w kłębek Evie. Zdawało mu się, że płakała. Wieczorem z trudem powstrzymywała łzy, choć zapewniała go, że wszystko jest w porządku. Ale nie było. Na jej twarzy, zwykle tak radosnej i beztroskiej, malował się smutek. Ukląkł przy niej.

- Przepraszam, martwiłem się o ciebie.

- Tak? Ale czemu?

- Wyglądasz na nieszczęśliwą.

- Wszystko w porządku. - Przetarła oczy. - Ale co ja tu robię?

Musiałam zasnąć. Wspominałam dawne czasy.. Ten dom jest taki sam, nic się w nim nie zmieniło od czasu, kiedy przyjechałam tu pierwszy raz. Zawsze było to dla mnie magiczne miejsce. Kiedy Mark dwa dni temu cieszył się tak entuzjastycznie, przypomniał mi się mój dziecięcy zachwyty, który nie minął aż do dziś. Bardzo lubiłam przyjeżdżać do wuja. Tak bym chciała, żeby ten dom na zawsze pozostał taki, jakim on go pozostawił. - Głos jej się załamał, zasłoniła oczy dłońmi.

- Nie płacz, coś na to zaradzimy.

- Nigdy nie płaczę! - wybuchnęła. - Ale jak mogę spokojnie myśleć o tym, że ona tu wszystko zmieni?! - Zaszlochła.

- A jednak płaczesz. - Przytulił ją do siebie.

Nie miała siły się z nim sprzeczać, musiała wypłakać wszystkie łzy, które powstrzymywała do tej pory, myśląc o utracie domu. Mocne ramiona Justina przyniosły jej niespodziewaną ulgę. Zawsze tak bardzo podkreślała swoją niezależność, a teraz przyłgnęła do niego, jakby był jej ostatnią deską ratunku.

- Przepraszam, nie wiem, co mnie naszło - powiedziała. -
Zwykle się tak nie zachowuję, to nie w moim stylu.

- Oczywiście, że nie w twoim stylu, ale czy zawsze rozwiązujesz swoje problemy sama?

- Nie mam przecież rodziny.

- A co z Andrew, czy możesz na niego liczyć?

- Tak, ale...

- To dlaczego nie wymyślił jeszcze jakiegoś błyskotliwego planu finansowego, sztuczki podatkowej czy czegoś w tym stylu? Co to za problem dla tak dobrego księgowego...

- Po co ma oszukiwać?

- Żeby ci pomóc.

- Ale... - Urwała gwałtownie. Owszem, opowiadała mu o sprzedaży domu, ale nie zaproponował żadnego konkretnego rozwiązania.

- Czemu go o to nie zapytasz?

- Może zapytam, jak przyjedzie.

- Nie masz zbyt wiele czasu.

- Więc zadzwonię do niego. - Idealny pretekst, by spytać przy okazji, kiedy się pojawi. - Trochę wcześniej, ale trudno. - Po chwili usłyszała w słuchawce jego zaspany głos.

- Cześć, śpiochu - przywitała go radośnie.

Na chwilę zapanowała cisza.

- Evie?

- A jak myślisz?

- Nie byłem pewny...

- Od kilku dni jestem w domku nad morzem. Zakochałbyś się w nim, naprawdę.

- No cóż, ostatnio między nami... Chciałbym o tym powiedzieć, ale... - Zawiesił głos.

Evie usłyszała coś, co zmroziło jej krew w żyłach. To był chichot młodej dziewczyny i stłumiony szept:

- Chodź już, ile można rozmawiać przez telefon.

- Evie? Jesteś tam jeszcze?

- Jestem, jestem, ale nie chciałam niczego przegapić.

- Mam nadzieję, że nie będziesz zachowywać się nierozsądnie.

Poza tym to zwykle ty miałaś mnie za co przepraszać...

- Ale nie za coś takiego...

- No cóż, między nami nie było najlepiej, więc nie sądziłem, że będziesz miała mi za złe. Wierz mi, to naprawdę miło pobyć z kimś, kto stawia cię na pierwszym miejscu. Ty nigdy mnie tak nie traktowałaś. I jak się zastanowisz, sama dojdiesz do wniosku, że nie ma o co robić krzyku.

Otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale rozłączył się.

- Andrew? Andrew? - Zszokowana wyłączyła telefon. Justin, który chciał być taktowny, wyszedł do kuchni.

Teraz jednak wrócił i widząc jej marsową minę, zapytał:

- Odmówił?

- Nie. Nawet go nie zapytałam. To już koniec, nie przyjedzie tu i chyba nigdy nie miał takiego zamiaru.

- Nie myśl tak!

- Boże, jaka ja jestem głupia... Właśnie zabawiał się z inną kobietą. Byłam tak pewna siebie, że niczego nie zauważyłam. A pomyśleć tylko, że czekałam na niego, mieliśmy spędzić cudowny, beztroski tydzień. Zamierzałam mu powiedzieć, że naprawdę go kocham. Ale życie potoczyło się inaczej...

- Chyba nie. - Justin ujął jej twarz w dłonie i spojrzał na nią czule. - Nie mów, proszę, że złamał ci serce. Tak naprawdę nie kochasz go.

- Jesteś taki sam jak on. Chcesz za mnie decydować, co czuję.

- Na pierwszy rzut oka widać, kiedy kobieta jest zakochana. Bądź wobec siebie szczerą, Evie. Ledwie go sobie przypominasz.

Posunął się za daleko. Chciała mu się wyrwać, ale nie udało się jej. Trzymał ją mocno, jak więźnia.

- On też już o tobie nie pamięta - ciągnął bez litości. - Bo kiedy mężczyzna kocha kobietę, ona jest zawsze z nim, w jego myślach i w jego sercu.

- Puść mnie!

- Czy czułaś jego dotyk, mimo że był daleko? Czy podniecała cię sama myśl o nim? Nie sędzę.

- Jak śmiesz?!

Nadaremnie próbowała się wyswobodzić z jego uścisku. Po chwili poczuła jego gorący oddech na policzku. Poczowała się bardzo dziwnie...

- Rozpalały cię jego pocałunki, czy też już wcale ich nie pamiętasz? - szeptał jej wprost do ucha.

Ona jednak prawie go nie słyszała. Oszołomiona jego porywczym zachowaniem, wciąż nie mogła uwierzyć, że to prawda. Dopiero gdy poczuła na sobie jego usta, zrozumiała, że to nie sen. To niemożliwe, przemknęło jej przez głowę, żeby ten arogancki manipulant wzbudzał w niej dreszcz podniecenia. Wiedziała, że powinna trzymać się tej myśli, ale jej ciało mówiło coś odwrotnego. Z pasją przyjmowała jego namiętne pocałunki.

Serce także ją zdradziło, waliło mocno jak nigdy dotąd w zgodnym rytmie z sercem Justina. Jej umysł kipiał z oburzenia, ale ciało pragnęło jeszcze silniejszych i bardziej intymnych doznań.

Wreszcie połuźnił trochę ramiona i mogła złapać powietrze. Dyszała ciężko, i to nie tylko z wściekłości.

- Ostrzegam cię - wysapała - jeżeli mnie zaraz nie puścisz, zrobię coś takiego, że jeszcze przez tydzień będzie ci dzwoniło w uszach.

Widać było, że nie jest przyzwyczajony do takich tekstów. Evie poczuła satysfakcję. Przystopowała wielkiego Justina Dane'a.

Ale nie złościł się i nie grzmiął.

- Przepraszam cię. - Odsunął się trochę. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Chciałem, żebyś zrozumiała, że ten facet... że ty...

- Co za łaska na mnie spada! Troszczysz się o mnie... I co, mam ci paść do stóp?

- Nie, to znaczy...

- Twoje zuchwalstwo nie zna granic! Myślisz, że nie mam żadnych uczuć, bo tak ci wygodnie. A ja właśnie straciłam mężczyznę, którego kocham. Ale ty oczywiście nie rozumiesz, że mam złamane serce.

- Może, gdybyś była inną kobietą...

- Nie masz bladego pojęcia, jaka jestem!

- Myślę, że masz dużo zdrowego rozsądku.

- Wielkie dzięki! - krzyknęła oburzona.

- Możesz mi wytłumaczyć, co powiedziałem nie tak?

Nie rozumiałaby tego nawet za sto lat. Musiała zmienić taktykę, choć wciąż nie mogła mu wybaczyć tego „zdrowego rozsądku”.

- Wydaje ci się, że wiesz wszystko o wszystkich. Ale to jest moje życie i ja wiem najlepiej, jak się czuję.

- Oczywiście, tylko że teraz nie myślisz jasno. Dlatego ci pomogłem. Uwolniłaś się od tego faceta! Marnowałaś przy nim swój czas.

- Nawet nie widziałeś go na oczy!

- No właśnie, ale dlaczego go tu nie ma, kiedy go potrzebujesz? Jesteś chora z przejęcia, bo tracisz ukochany dom, a co on robi w tym czasie? Rozgląda się za inną, zamiast cię wspomóc.

- To nie jest jego problem.

- Ale, do cholery, powinien być!

- Zamieszałam mu w głowie, bo wysyłałam fałszywe sygnały.

- Boże, daj mi cierpliwości! - jęknął Justin. - Co się stało z tą niezależną kobietą, którą poznałem?

- Zmarnowała jedną noc.

- I zmarnuje całe życie, jeśli będzie mówić tak dalej. Dlaczego się oszukujesz?

- A ty się nigdy nie oszukiwałeś?

- Nie, jeśli mogłem sobie jakoś pomóc.

- Nie mogę wprost uwierzyć!

- Nigdy nie potrafisz przyznać, że zrobiłaś coś złe? Tylko głupcy tego unikają.

- Więc na dodatek jestem głupia!

- Nie mogę z tobą rozmawiać, skoro każde słowo obraca się przeciwko mnie.

- Świetnie, że to wreszcie zauważyłeś. - Wiedziała, że plecie bez sensu, ale kompletnie puściły jej nerwy.

- Słuchaj - powiedział z przesadną cierpliwością, co sprawiło, że miała ochotę go zabić - tylko cię pocałowałem. Chciałem, żebyś lepiej się poczuła.

- Jesteś potwornie zarozumiała. Przeceniasz siebie.

- Evie, spróbuj spojrzeć na to inaczej. Zgoda, bywam nietaktowny, niezręczny, ale do diabła... - Przeczesał włosy palcami. - No świetnie, źle zrobiłem. Zadowolona? Ale jeśli uporządkujesz sobie to wszystko w głowie, zauważysz...

- Znowu zaczynasz! Nawet twoje przeprosiny są zamaskowaną obrazą.

- Jeśli nie przestaniesz, to znów cię pocałuję.

- Wtedy nie odezwę się do ciebie do końca życia.

Był wściekły. Myślała, że ją uderzy, ale tylko zarzucił na ramię ręcznik i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Evie wbiegła po schodach na górę. Widziała, jak Justin idzie po piasku w stronę morza. Wszystko, co dzisiaj zrobił, było po prostu niewybaczalne. Nikt nie będzie jej mówił, co ma robić, ani nią dyrygował, ani całował bez jej zgody. Rzuciła się na łóżko i nakryła po głowę kołdrą. Co z tego, że miał rację? Fakt, że jej relacje z Andrew nigdy nie były takie, jak trzeba. Nie umiała się w nim zatracić, a przez to popychała go w ramiona innej kobiety.

Z sąsiedniego pokoju dobiegł ją hałas. Mark wstał i poszedł do łazienki. Musiała się koniecznie pozbierać. Zanim chłopiec zszedł na dół, była już w kuchni zajęta przygotowywaniem śniadania.

- Gdzie jest tata?

- Poszedł popływać.

- Może my też pójdziemy?

- Najpierw śniadanie.

W chwilę później wrócił Justin. Przywitał się z nimi, a potem powiedział:

- Muszę dziś wyjechać. - Kiedy Mark spojrzał na niego pytająco, dodał: - Wszystko w porządku, synu.

- To świetnie, bo zamierzamy spędzić z Markiem wspaniałą dzień. Prawda, Mark?

Jednak chłopiec wciąż wpatrywał się z niepokojem w ojca.

- Długo cię nie będzie, tato?

- Tylko do jutra.

- Ale dokąd jedziesz?

- To tajemnica, ale kiedy wrócę, będę miał dla was niespodziankę.

Nieco uspokojony Mark kiwnął głową. Justin poczochnął go po włosach i poszedł na górę. Miała ochotę pobiec za nim, ale się pohamowała.

Wkrótce zszedł na dół w garniturze, z neseserem w ręku. A więc dla niego wakacje się skończyły. Pomachali mu na pożegnanie i cały dzień spędzili na plaży. Nie rozmawiali o Justinie. Wieczorem zasiedli do szachów. Evie postanowiła, że da na początku chłopcu wygrać, ale skończyło się na tym, że sama musiała się nieźle bronić.

Przekomarzali się wesoło, a ona myślała o tym, jak bardzo Mark przypomina ojca. Usta miał inne, delikatniejsze, za to ten sam nos.

Zadzwonił telefon. Mark podbiegł, żeby odebrać.

- Cześć, tato! Kiedy wracasz? Aha, dobrze, przekażę jej. -
Odłożył słuchawkę. - Bardzo się spieszył, dlatego nie mógł z tobą rozmawiać, ale powiedział, że przyjedzie jutro rano.

Evie ucieszyła się z tej wiadomości. Gdy leżała już w łóżku, próbowała powrócić myślami do Andrew. Zastanawiała się, czy faktycznie jej serce rozpadło się na tysiąc kawałków. I nagle pojęła coś bardzo ważnego. Czy może złamać serce mężczyzna, którego twarz tak trudno przywołać w pamięci?

Było jeszcze bardzo wcześnie, gdy obudziły ją hałasy dobiegające z dołu. Zrzuciła szlafrok i zbiegła na dół. W bladym świetle wschodzącego słońca zobaczyła Justina, który wchodził właśnie do domu.

- Witaj - powiedziała łagodnie.
- Muszę ci o czymś powiedzieć.
- Stało się coś? - Wystraszył ją ten oficjalny ton. - Wyglądasz, jakbyś jechał całą noc.
- Nieważne. Spójrz. - Podał jej sporą kopertę.
- Czy to niespodzianka, o której wspominałeś Markowi? Mam go zawołać?
- Chcę, żebyś zobaczyła to pierwsza.
- Justin, zaczynam się bać.
- Nie ma powodu, po prostu zobacz.

Słowa tańczyły jej przed oczami. Nie docierał do niej sens dokumentu, który wyjęła z koperty. Jedyne co rozpoznała, to adres domku nad morzem.

- Więc został sprzedany? Nie ma co, Nicholsonowie się pospieszyli...

- Nie oni, ja. Kupiłem wczoraj tę posesję.

- Co takiego? - Spojrzała na cenę. - Boże! Nie zapłaciłeś chyba aż tyle?

- Zapłaciłem. Kiedy Nicholsonowie usłyszeli o mojej ofercie, podnieśli cenę. Muszę przyznać, że tego się nie spodziewałem. Byli naprawdę zdeterminowani. To była prawdziwa wojna, lecz wygrałem. Mam większe doświadczenie.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Popatrz na drugi dokument, wtedy zrozumiesz.

Był to akt darowizny domu. Figurowało na nim jej nazwisko.

- Tego nie rozumiem - wymamrotała.

- Naprawdę nie rozumiesz? Dom jest twój. Kupiłem go, ale jest twój.

Powinna poczuć wdzięczność, a tymczasem miała wrażenie, że oplata ją obezwładniająca sieć. Dobrze знаła to uczucie z przeszłości.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Czy to ma jakieś znaczenie? Ważne, że dom jest twój i będziesz miała dostatecznie dużo pieniędzy, by spłacić dług. To dla ciebie naprawdę dobry interes.

- Z pewnością, a ty ot tak, puściłeś lekką rączką taką kwotę... - To oczywiste, że nie zrobił tego dla niej, lecz dla własnych korzyści.

- Czasem to jedyna droga, by osiągnąć to, co się chce.

- Jestem pod wrażeniem, nie ma co. Zawsze musisz mieć ostatnie słowo?
- Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Dom jest twój, na zawsze. Tego przecież chciałaś. A teraz może masz mi coś do powiedzenia?
- Owszem, mam! Nie wybaczę ci tego do końca życia!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Justin oniemiał.

- Czy ja dobrze słyszę?
- Bardzo dobrze! Czego się spodziewałaś? Wdzięczności? Może i byłabym ci wdzięczna, gdybym nie wiedziała, jakie pobudki tobą kierują.
- A wolno spytać, co masz na myśli? - rzucił szorstko.
- Kontrolę i chęć posiadania. Jestem dla ciebie użyteczna ze względu na Marka, a jak coś ci jest potrzebne, potrafisz zadbać, żeby ci nie uciekło. Po prostu to kupujesz.

Zbladł.

- Tak pomyślałaś? Że staram się ciebie kupić?
- A cóż by innego? Perfekcyjne przejęcie domu na idealnych warunkach, oczywiście w kompletnej dyskrecji, żeby zdobywany obiekt o niczym się nie dowiedział. A potem jest już za późno.
- Zdobywany obiekt? Posłuchaj tylko siebie! Pleciesz bzdury!
- Bzdury? Więc jak byś nazwał tę krecią robotę, którą wykonałeś za moimi plecami?

- Chciałem ci pomóc, bo widziałem, jak bardzo kochasz to miejsce!

- Ale to nie znaczy, że chciałam cię na coś naciągać.

- Wczoraj płakałaś z tego powodu...

- Nie przypominaj mi wczorajszego dnia. - Wspomnienie pocałunków Justina wciąż nie dawało jej spokoju.

- Czy ci się to podoba, czy nie, dom jest twój i możesz z nim zrobić, co zechcesz.

- Nie mogę tak, to nie jest w porządku.

- Już się nie da tego cofnąć.

- Nie pojmuję, jakim cudem udało ci się to wszystko załatwić w jeden dzień.

- Udało się. - Wzruszył ramionami.

- Naprawdę sądziłeś, że tak po prostu przyjmę dom w prezencie? Za takie pieniądze! Powiem prawnikowi, żeby uregulował dług, a resztę ci zwrócił.

- To śmieszne! Gdzie twój zdrowy rozsądek?

- Widocznie go nie mam. Za to mam jeszcze na tyle szacunku dla samej siebie, żeby nie przyjmować jałmużny.

Usłyszała, jak ze świstem nabiera powietrza, a potem zobaczyła, jak wściekłość wykrzywia mu twarz. Chwyliła akt darowizny i podarła go na strzępy.

Zacietrzewieni w złości, nie zauważyli, że na schodach pojawił się Mark.

- Idź do diabła! - machnął ręką Justin.

- Sam idź do diabła i nie wracaj!

Niemal w tej samej chwili usłyszała trzaśnięcie drzwiami, a zaraz potem odgłos zapalającego silnika. Usiadła na schodach przed domem i ukryła twarz w dłoniach. Co ją opętało, żeby w taki sposób odrzucać jego dar? Przecież zatrzymanie domu było jej największym marzeniem. I teraz byłby jej, gdyby tylko potrafiła choć ten jeden jedyny raz zapanować nad własną dumą. Ale wobec tego mężczyzny było to niemożliwe.

Ten jego zwięzły, niemal urzędowy ton, sposób, w jaki miażdżył swoich przeciwników i łatwość, z jaką rozporządzał pieniędzmi powiedziały jej wszystko, co chciała wiedzieć o motywach jego postępowania. Może i źle się stało, bo coś jej podpowiadało, że w innych okolicznościach mogłaby się zaprzyjaźnić z tym człowiekiem. Jednak on nie wiedział, co to przyjaźń.

Poszła na górę do swojego pokoju i położyła się do łóżka. Nie miała zamiaru spać, ale kłótnia doszczętnie ją wyczerpała.

Kiedy się obudziła, słońce stało już wysoko, ale samochodu Justina wciąż jeszcze nie było. Wyszła przed dom i zobaczyła Marka, który siedział samotnie na skałach. Chciała go upomnieć, że sam nie powinien się oddalać od domu, ale gdy zobaczyła jego smutną twarz, słowa ugrzęzły jej w gardle.

- Cześć, wcześniej dziś wyszedłeś. Masz coś ciekawego?

- Tylko kilka krabów. Chciałem trochę pomyśleć...

- Wybrałeś do tego dobre miejsce. I co, doszedłeś do jakichś wniosków?

- Tak naprawdę myślenie nie pomaga, bo nie można nim niczego zmienić.

- Lepiej się myśli z pełnym brzuchem. Zjemy śniadanie? - Kiedy Mark kiwnął głową, dodała: - To co, możemy wracać? Potem tu przyjdziemy.

Sądziła, że zapyta o ojca, ale nie wspomniał o nim ani słowem.

Po śniadaniu poszli na plażę i badali małe oczka wodne między skałami.

- O, jest tata! - wykrzyknął nagle Mark.

Justin zbliżał się w ich kierunku z uśmiechem na ustach. Mark przywitał się z nim niezbyt wylewnie, ale nie zapytał o obiecaną niespodziankę, za to przez cały dzień czaił się na jego twarzy ten sam smutek, który Evie dostrzegła rano. Emocje tylko czekały, aby dać o sobie znać.

Wieczorem Justin zaproponował, żeby poszli do restauracji. Dla niej zamówił wino, sam zrezygnował z alkoholu, wykręcając się, że nigdy nie pije, gdy prowadzi. No tak, pomyślała natychmiast, trzeźwość to też sposób na zachowanie kontroli.

Przy sąsiednim stoliku siedziały dwie dziewczyny, które wyraźnie zainteresował Justin. Obrzucały go pożądlivymi spojrzeniami i uśmiechały się, gdy napotykały jego wzrok. Były naprawdę sexy, ale on, całkowicie pochłonięty rozmową z synem, nie zwracał na nie uwagi. Przez moment udało jej się spojrzeć na niego oczami tych dziewczyn. Musiała przyznać, że naprzeciw niej siedzi szalenie przystojny i atrakcyjny facet. Przypomniał jej się dzień, który

wspólnie spędzili na plaży, jego muskularne, ponętne ciało. A stąd już niedaleko było do dzikich, namiętnych pocałunków. Nie dało się zaprzeczyć, pragnęła znowu poczuć jego szalone usta i gorący oddech.

- Dobrze się czujesz? - spytał z troską Mark. - Bo wyglądasz na smutną.

- Nic mi nie jest - skłamała. - Po prostu jestem zmęczona.

Do domu wrócili późno i Mark bez protestu poszedł do łóżka.

- Ja też się położę - powiedziała, widząc, że Justin otwiera komputer.

Zanim weszła do siebie, zajrzała jeszcze do pokoju Marka.

- To nie był dzień twoich marzeń, co? - zapytała, siadając na łóżku.

- Było jak dawniej...

- Co to znaczy?

- Tuż przed odejściem mamy. Byli dla siebie grzeczni, ale nie dało się tego znieść.

- Przepraszam, twój tata i ja mieliśmy dziś zły nastrój. Śpij teraz, a jutro wszystko będzie dobrze.

Ale kiedy położyła się spać, zdała sobie sprawę, że po tym, co się stało, nic nie może być dobrze. Z pokoju Marka dobiegł ją płacz. Pobiegnęła tam natychmiast. Chłopiec siedział na łóżku z zamkniętymi oczami i płakał. Przytuliła go do siebie.

- Co się stało?

- Mama! Mama! - Drżał na całym ciele. Jeszcze mocniej go przycisnęła. - Przepraszam... - Objął ją ramionami.

- Nie ma za co, Mark. Powiedz, o co chodzi. Pewnie miałeś zły sen?

- Miałem wspaniały sen...

- O mamie?

- Tak...

- Tęsknisz za nią, prawda?

- Najgorzej jest w nocy, bo mi się śni taka prawdziwa i przychodzi do mnie i mówi, że to wszystko to była pomyłka i że nie miała zamiaru mnie zostawić. Potem biegniemy gdzieś razem albo bawimy się w domu... Jak mi się tak śni, to chyba nie mogła mnie porzucić? - Znowu zaczął płakać.

- Nie, z pewnością. - Pogładziła go po głowie. Siedzieli przytuleni do siebie, wreszcie Mark zaczął się powoli uspokajać.

Zza drzwi dobiegł ją jakiś szelest.

- Przyjechałaby po mnie, ale nie zdążyła...

- Oczywiście, że by przyjechała. Nigdy nie przestała o tobie myśleć.

- Naprawdę? To dlaczego ani razu mnie nie odwiedziła? Myślisz, że tata nie chciał?

- Nie, nie zrobiłby nigdy niczego, co mogłoby cię zranić, tego jestem pewna. Może... - Zawiesiła głos, bo Mark zasnął jej na rękach.

Ułożyła go delikatnie na łóżku, pocałowała w czoło i wyszła. Na korytarzu było ciemno, ale w świetle księżyca dostrzegła męską postać.

- Czekałem na nią, ludziłem się, że wróci. Stałem tak czasem całymi godzinami.

- Justin? - Zobaczyła, że po jego policzkach spływają łzy. Może wcale o nich nie wiedział? Dlaczego nie potrafił tak otwarcie porozmawiać z synem? Podeszła do niego i przytuliła go do siebie, a on objął ją mocno, jakby pragnął znaleźć u niej pocieszenie.

- Ale nigdy nie przyszła, chociaż obiecała - powiedział ochryplym głosem. - Nigdy więcej już jej nie zobaczyłem.

Poczuła na sobie straszliwy ciężar jego smutku i żalu. By mu ulżyć, przytuliła go jeszcze mocniej. Nie mogli tu zostać, źle by się stało, gdyby tę scenę zobaczył Mark, pociągnęła więc lekko Justina w stronę swojego pokoju. Zamknęła drzwi, ale nie zapaliła światła.

Przewrócił się na łóżko i pociągnął ją za sobą. Już raz trzymał ją tak mocno w objęciach, ale teraz było jakoś inaczej. Po tamtym aroganckim facecie nie pozostał nawet ślad.

- Już dobrze - szepnęła. - Powiedz, co się stało. Nie chodzi wcale o matkę Marka, prawda?

- Nie.

- Więc opowiedz mi o tym.

- Nie jestem w stanie. Jest tak wiele spraw, na które nic nie można poradzić...

- Zawsze jest jakieś wyjście, tylko muszę wiedzieć, o co chodzi.

- Nie wiem, chciałbym zrozumieć, dlaczego tak się stało, ale nie ma już kogo zapytać.

Nie mogła znieść jego cierpienia. Pochyliła się nad nim i pocałowała go czule w usta.

- Będzie dobrze - szepnęła. - Postaram się, żeby było dobrze. - Sama nie wiedziała, co ma na myśli, ale szczegóły nie miały znaczenia. Zaczęła go całować, aż poczuła, że zaczyna się odprężyć. Pragnęła, by znalazł w jej ramionach ukojenie, żeby zapomniał o swoich troskach, zatracił się w niej, jeżeli tylko pozwoli mu to uciec przed cierpieniem. Czowała, jak zaczyna budzić się w nim pożądanie. Z namiętnością odwzajemniał jej pocałunki, a potem zsunął jej bluzkę i przytulił twarz do jej ciepłej, nagiej skóry. Potem zaczął ją czule pieścić. Zrozumiała, że oboje pragną tego samego. Kochali się szybko, jakby próbowali coś w sobie odnaleźć. A gdy to już odnaleźli, kochali się jeszcze raz, spokojniej, rozkoszując się nowo odkrytym skarbem. Spokojem i bezpieczeństwem.

- Justin, czy teraz możesz mi już o tym opowiedzieć? - spytała.

- Nigdy wcześniej nie próbowałem.

- Może właśnie w tym tkwi problem. Proszę, powiedz mi, dla naszego wspólnego dobra.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Jak nie wiesz, od czego zacząć, to zacznij od matki.

- Której?

- Nie rozumiem... - Spojrzała na niego zszokowana.

- Przez pierwszych siedem lat życia miałem całkiem normalne dzieciństwo, to znaczy dom i dwoje kochających rodziców. Wszystko się zawaliło w ciągu jednego dnia, kiedy kobieta, do której mówiłem

„mamo”, zaszła w ciążę. Przypadkiem usłyszałem jej rozmowę z siostrą. „Cudownie będzie mieć własne dziecko”, powiedziała uszczęśliwiona, a ja dowiedziałem się, że nie była moją biologiczną matką.

- Dobry Boże - westchnęła Evie ze współczuciem. -
Rozmawiałeś z nią o tym?

- Nie miałem odwagi. Próbowałem wmówić sobie, że to nieprawda, że to zły sen. Jednak gdy urodziło się dziecko, na niewiele się to zdało. Byłem zazdrosny, zacząłem mieć napady złości. Wtedy wezwali kogoś z opieki. Nie miałem już złudzeń, zrozumiałem, że zostałem adoptowany, bo sądzili, że nigdy nie będą mieć dzieci. Lecz już mnie nie potrzebowali.

Evie tylko wpatrywała się w niego. Cóż mogłaby powiedzieć.

- Niewiele pamiętam z tamtego dnia. Płakałem, zaklinałem ich, żeby mnie nie odsyłali, ale już byłem dla nich jakimś obcym dzieciakiem.

- Poczekaj... - Zakryła dłońmi twarz. Nie mogła znieść tej strasznej historii. - To mi się nie mieści w głowie, przecież musieli cię kochać...

- Byłem tylko atrapą. Gdyby ta kobieta nie zaszła w ciążę, pewnie zostałbym u nich. Lecz atrapę zastąpił oryginał i pozbyli się mnie. Przez całe lata byłem przekonany, że sam jestem wszystkiemu winien.

- Nie mogę tego pojąć... Gdzie cię umieścili?

- W domu dziecka. Spędzałem całe godziny, wpatrując się w okno z nadzieją, że matka przyjedzie mnie choć odwiedzić. Ale mijały tygodnie, potem miesiące, a ja tylko czekałem. Nie umiałem się z tym pogodzić. Aż pewnego dnia jeden z chłopaków powiedział mi: „Tracisz tylko czas, twoja mama cię wyrzuciła”. W głębi serca czułem, że to prawda, ale nie mogło mu to ująć na sucho. Mimo że był ode mnie większy, spuściłem mu wtedy straszne manto. Kierowała mną nienawiść, a do tego wiedziałem, że następnego dnia ma przyjechać po niego mama. - Przerwał na chwilę. - Nie mogę powiedzieć, w domu dziecka nie było wcale tak źle. Ludzie, którzy tam pracowali, mieli naprawdę dobre zamiary, ale opiekunowie tak często się zmieniali, że nie było mowy o nawiązaniu prawdziwych więzi. Życie nauczyło mnie nieufności, dlatego nie wiedziałem, co mam zrobić, kiedy ktoś próbował się ze mną zaprzyjaźnić. Evie wciąż jeszcze była w szoku. Jak to się stało, że tak bardzo pomyliła się w ocenie tego człowieka? - Dom dziecka opuściłem, kiedy miałem szesnaście lat. Ostatniego dnia... - zaczął, ale zaraz zawiesił głos.

- Co się wydarzyło ostatniego dnia? - zapytała bardzo łagodnie.

- Daj mi chwilę... - Wstał i podszedł do okna. Stała obok niego i zobaczyła, że z trudem hamuje łzy.

Drżał jak dziecko, coś go wewnętrznie pożerało. Była pewna, że nie będzie zdolny dalej o tym mówić.

- Tego dnia dowiedziałem się całej prawdy o moim pochodzeniu. Moja biologiczna matka porzuciła mnie tuż po urodzeniu.

- Zaśmiał się gorzko. - Aż trudno w to uwierzyć, zostawiła mnie na

schodach sierocińca jak za czasów królowej Wiktorii. Nie odnaleziono kobiety, która to zrobiła. „Matka nieznana”, „ojciec nieznany”, to wszystko, co o mnie wiedzieli.

- Jak to, więc twoje narodziny nie zostały nigdzie zarejestrowane?

- Narodziny nie, ale jako podrzutka zarejestrowano mnie w najbliższym urzędzie.

- To straszne, nawet nie wiesz, kim jesteś...

- Oczywiście, że wiem. Jestem synem dwóch matek, z których żadna mnie nie chciała.

- Zastanawiam się, jak ci się udało w tym wszystkim nie zwariować...

- Całkiem normalny to ja nie byłem. Dużo piłem, awanturowałem się i miałem kłopoty z policją. Nawet siedziałem w pace. Wtedy nawiązali ze mną kontakt moi przybrani rodzice.

- I co, pomogli ci? - zapytała z nadzieją Evie.

- Nie. - Uśmiechnął się sarkastycznie. - Złożyli mi propozycję, że opłacą mi dobrego obrońcę, jeżeli nie będę używał ich nazwiska. A nazwisko było charakterystyczne i ludzie zaczęli kojarzyć państwa Strassne ze mną, czyli z młodym kryminalistą.

- I tak stałeś się Markiem Danem...

- Nie, tak stałem się Johnem Davisem. Nalegali, bym przyjął to nazwisko i uregulowali zmianę aktem prawnym. Obrońca był faktycznie doskonały i John Davis został uniewinniony. Nawet

przyszli na rozprawę sądową, ale od tamtego czasu nigdy już ich nie widziałem.

- I co było dalej z Johnem Davisem?

- Nie przeżył nawet dnia, bo od razu zmieniłem nazwisko na Leo Holman, tyle że bez żadnych aktów prawnych. Po prostu zacząłem się tak przedstawiać.

- I nie musiałeś zmieniać dokumentów?

- Pewnie gdyby ktoś ich ode mnie zażądał, byłyby problemy, ale żyłem wtedy z dnia na dzień. Pracowałem tu i tam, na budowie, w zaopatrzeniu, no i często wpadałem w tarapaty, lądowałem w więzieniu, ale nigdy z długim wyrokiem. Miałem pewną zasadę: zawsze, gdy wychodziłem na wolność, zmieniałem nazwisko. Sam już nie wiem, ile to było razy, straciłem rachubę. Było mi wszystko jedno faktycznie nie miałem żadnego nazwiska, bo nigdzie nie przynależałem. Moje życie odmienił dopiero Bill. Poznałem go podczas ostatniej odsiadki. Był inspektorem więziennym, ale sam kiedyś siedział, więc wiedział, o czym mówi. Musiał coś we mnie dostrzec, bo zajął się moim losem. Kiedy wyszedłem na wolność, czekał na mnie. Dał mi u siebie pokój i pilnował, bym nie zboczył z obranej drogi. Pomógł mi się dostać do wieczorowej szkoły i krok po kroku przeobrażałem się w szanowanego obywatela, który potrzebuje dokumentów. I wtedy zmieniłem nazwisko po raz ostatni. Andrew Lester zamienił się w Justina Dane'a, i to oficjalnie, zgodnie z prawem. Zacząłem pracować w firmie Billa. Po jakimś czasie Bill pożyczył mi pieniądze na rozkręcenie biznesu. Spłaciłem go po trzech

latach i kupiłem jego firmę. Sam tego chciał, dałem mu naprawdę dobrą cenę, a on mógł przejść na emeryturę. Odtąd zająłem się robieniem pieniędzy. Tak naprawdę to jedyne, co potrafię. W relacjach międzyludzkich nigdy nie byłem specjalistą wysokiej klasy.

- A co z twoją żoną, przecież musiałeś ją kochać?

- Kochałem ją i wmawiałem sobie, że i ona mnie kocha. Ale prawda była taka, że pobraliśmy się, bo była w ciąży, a ja bardzo pragnąłem dziecka. W końcu jednak nie wytrzymała ze mną i pewnego dnia powiedziała mi, że jedyną dobrą stroną naszego związku jest Mark. Nie wiem dlaczego, ale zrażam do siebie ludzi.

- Ten koszmar nie był przecież twoją winą...

- Ale wpłynął na moje życie i nie potrafię od tego uciec. Kiedy ktoś mi mówi, że mam się wynosić, tak naprawdę czuję ulgę. Może dlatego, że wchodzę wtedy na dobrze mi znane terytorium.

Evie zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego. Stali i w milczeniu patrzyli przez okno. Cóż można było dodać do tak straszliwej historii?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Więcej nie wracali do tamtej rozmowy. Justin powiedział tyle, ile mógł, a Evie wiedziała, że nie powinna dalej drać. Wiedziała też, że musi zacząć wszystko od początku, bo Justin nie był wcale tym, za kogo chciał uchodzić. Nie miała przed sobą chłodnego biznesmena, lecz porzucone dziecko, które całe lata nie mogło pojąć, czym takim straszonym zawiniło, że wyparli się go rodzice. Ta bolesna zadra tkwiła w nim nadal, czyniąc go nadwrażliwym na najmniejszy objaw lekceważenia. Nie umiał zareagować inaczej, jak tylko walką i atakiem. Jak niepewne swej pozycji dziecko, którym nadal w pewnym sensie był.

W domu zrobiło się słoneczniej i cieplej, ale niczego nie wyjaśniali Markowi. Zauważył tylko, że łóżko ojca tej nocy było puste.

Kiedy leżeli na plaży, Justin zapytał:

- Evie, o co właściwie chodziło w tym całym zamieszaniu z Andrew?

Roześmiała się.

- Nie przypominaj mi mojej głupoty. Chciałam wierzyć, że jestem w nim zakochana. - Machnęła ręką. - Ale ty też mówiłeś różne rzeczy...

- Nie trzeba było mnie słuchać.

- Starłam się, ale trudno ci przerwać, kiedy się rozpędzisz.

Okropnie mnie zirytowałaś. Gdybym miała więcej siły...

- Szczęśliwie nie miałaś. - Pocałował ją.

- Ale prawda jest taka, że zawsze unikałam trwałych związków.

Wydawało mi się to strasznie nudne. Kocham swoje życie, wolność, zmiany...

- ...motor...

- ...i nigdy nie spotkałam mężczyzny, dla którego chciałabym to wszystko rzucić. I raczej nie liczę na to, że kiedyś spotkam... Stuknęła mi właśnie trzydziestka i poczułam się samotna, a Andrew wydawał mi się miły i ciepły. Uznałam więc, że to będzie ten. Cały czas jednak miałam poczucie, że robię to na siłę, że zmuszam się do tego związku. W końcu wyczuł, że coś jest nie tak...

- Trudno, żeby nie wyczuł, skoro wiele razy wystawiłaś go do wiatru - powiedział Justin z odrobiną satysfakcji, bo przecież wyszedł zwycięsko z tego pojedynku.

- Wreszcie to zrozumiał i znalazł sobie kogoś, kto lepiej do niego pasuje.

- Skąd taka pewność?

- Bo każda będzie lepsza ode mnie - oceniła siebie ze śmiechem.

Rozleniwieni słońcem, przez chwilę leżeli w milczeniu.

- Justin, powiedziałaś Markowi, że kupiłaś ten dom?

- Nie. Po tym, jak się wściekłaś, nie wiedziałem, co mam robić.

- To było nieporozumienie. Myślałam, że jesteś... zresztą nieważne. Rozmawiałam dziś z prawnikiem. Spłacił długi po wuju, a resztę pieniędzy prześle czekiem.

- I co, rzucisz nim we mnie?

- Ależ skąd. - Przytuliła się do niego. - Urządzą super przyjęcie, przepuszczę je co do pensa.

- Rewelacyjny pomysł.

- A tak naprawdę pomyślałam, że można wykorzystać te pieniądze na remont domu, jeżeli naprawdę są moje.

Chwytał ją w ramiona i pocałunkami przekonał, co o tym myśli. Ale było w nich coś więcej niż radość, także wielkie pożądanie, które przyprawiało ją o zawrót głowy.

Bardzo chciała, by znalazł u jej boku szczęście, ale zdawała sobie sprawę, że dobre chęci mogą nie wystarczyć, by odpędzić demony i brak poczucia bezpieczeństwa, które niszczyły Justina. Ciemne moce tak łatwo się nie poddawały. Justin co chwila wybuchał gniewem z powodu byle błahostki, a zaraz potem przeproszał Evie z obawą, że go porzuci. Oczywiście wybaczała mu, ale nie było łatwo tak żyć. Jeszcze bardziej martwiła się, gdy próbował kontrolować swoje emocje i cierpiał w samotności.

Pewnego dnia, gdy Mark poszedł już spać, rozpalili ogień w kominku. Siedzieli przytuleni, wpatrując się w płomienie.

- Justin, powiedz, jak długo chcesz to jeszcze ciągnąć?

- Sam nie wiem. Tak długo, jak będzie trwało. Co ja mogę zrobić?

- Kiedy cię spotkałam pierwszy raz, miałam wrażenie, że nosisz w sobie samą złość. Gdy poznałam cię bliżej, zrozumiałam, że ta złość to nie ty, tylko obca siła, która czai się w tobie, gotowa w każdej chwili wybuchnąć.

- Przykro mi, że jestem taki impulsywny.
- Nie o to chodzi. Nie jesteś szczęśliwy.
- Ależ jestem. - Objął ją mocno. - Trochę więcej magicznego balsamu, a będę słodziutki przez cały czas - zamruczał.
- Niech cię ręka boska broni! W takiej słodkiej wersji zaraz bym cię przepędziła. Poza tym magiczny balsam działa tylko na zewnątrz, a ty potrzebujesz czegoś, co wyleczy twoje wnętrze.
- Evie, nie jestem chory...
- Więc dlaczego z taką zajadłością miażdżysz konkurencję? Jakby sprawiało ci to przyjemność. To też jest rodzaj choroby.
- Znowu te psychologiczne zagrywki...
- Przestań! - Nie mogła pozwolić, by jej się teraz wymknął. - Próbujesz zbić mnie z tropu, bo nie chcesz zmierzyć się z tą trudną sprawą.
- No dobra, przyznaję, nie chcę. Ale dlaczego miałbym mieć na to ochotę?
- Bo w przeciwnym razie nigdy nie rozwiążesz tego problemu.
- A co tu jest do rozwiązywania? Takie jest moje życie, nie da się tego rozwiązać.
- Może się da...
- A niby jak?
- Gdybyś odszukał swoją biologiczną matkę i dowiedział się, dlaczego cię porzuciła?
- Oszalałaś?!

- Nie, ale ciebie to czeka, jeśli nadal będziesz dźwigał na sobie ten ciężar. Już zaczynasz się pod nim załamywać. - Gdy w milczeniu spojrział na nią ponuro, spytała: - Chociaż próbowałeś?

- A w jakim celu? Co, pojawię się po tylu latach i zapytam, dlaczego porzuciła mnie jak śmieć?

- Może dowiesz się czegoś, co pomoże ci to wszystko zrozumieć. Może była bardzo młoda, a dawniej takie matki strasznie traktowano... Chociaż spróbuj! To może zmienić więcej, niż przypuszczasz.

- Przecież mnie porzuciła! Tego nie da się cofnąć.

- Ale pytanie brzmi, czy zrobiła to, bo chciała, czy może nie miała innego wyjścia?

- Gadanie! Nie chciałbym być w skórze kogoś, kto próbowałby zmusić mnie, żebym porzucił mojego syna.

- Przestań! To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. Jesteś dorosłym, silnym, bogatym facetem, a ona mogła być słaba, bezbronna i bez grosza przy duszy.

- A co za różnica? Kiedy chodzi o dobro swojego dziecka, nie powinno się być słabym i bezbronnym.

- To, że ty potrafisz stawić czoło wszelkim przeciwnościom losu, nie znaczy jeszcze, że wszyscy tak potrafią. Przyznaj uczciwie, ta uwaga była poniżej pasa.

- Niech będzie... Ale trzeba by jakiemuś fachowcowi zlecić to zadanie, a wcale mi się nie uśmiecha, żeby ktoś obcy grzebał w moim

życiu. Czy zdajesz sobie sprawę, z jakim trudem wydusiłem to wszystko przed tobą?

- Domyślam się, ale żadna matka dobrowolnie nie opuści dziecka. Po prostu nie miała innego wyjścia.

- Nawet nie zarejestrowała moich narodzin, więc jak bym nie istniał. Jak do niej dotrzeć, skoro nie znam jej nazwiska? W ogóle nic o niej nie wiem.

- A jednak sprawa nie jest beznadziejna. Mam przyjaciela, któremu z czystym sumieniem mogłabym powierzyć takie zadanie. Jest prywatnym detektywem, szalenie błyskotliwym, inteligentnym i uczciwym.

Justin milczał.

Niemal czuła, jak ciemne moce próbują go odciągnąć od właściwej decyzji.

- Mogłabym się tym zająć - powiedziała pośpiesznie.

Podaj mi wszystkie informacje, a ja z nim porozmawiam. Nawet nie musisz się z nim spotykać.

- Dobrze - powiedział cicho. - Skoro mogę złożyć to w twoje ręce, niech tak będzie.

Evie pogładziła go po policzku. W duchu modliła się za powodzenie misji. Wiedziała, że jeśli jej się nie uda, Justin jeszcze szczelniej zamknie się w sobie. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie ma innego wyjścia. Rozwiązanie tej zagadki da mu szansę na nowe, lepsze życie.

Nadszedł czas powrotu do Londynu.

Evie raz jeszcze spojrzała na swój ukochany domek. Nie musiała niczego pakować ani wywozić swoich rzeczy. Nie było też smutnego pożegnania. Zastanawiała się, co ją spotka na nowej drodze, którą właśnie rozpoczynała z Justinem.

- Może zostaniesz dziś u nas na noc? Może na kilka dni... - spytał, gdy dojeżdżali na miejsce.

- Byłoby wspaniale - odparła, nie dając po sobie poznać, że wcześniej wszystko ustalili.

Mark tylko się uśmiechnął. Należał do tych dzieci, które rozumiały o wiele więcej, niż można było podejrzewać.

Dwa dni później Justin musiał lecieć do Nowego Jorku. Przed wyjazdem zostawił Evie garść informacji dotyczących swoich rodzin. Było tego żałośnie mało.

- Prawie nic - skwitował krótko David Hallam. - Trudno, zobaczę, co da się zrobić. Będę z tobą w kontakcie.

Zadzwoił jeszcze przed powrotem Justina.

- Udało mi się popchnąć trochę sprawę do przodu.

- Znalazłeś coś?

Były to prawdziwe rewelacje, jednak Evie nie zadzwoniła do Justina, choć bardzo ją korciło. To nie była rozmowa na telefon.

Wszystko mu opowie, gdy odbierze go z lotniska.

Następnego wieczoru, kiedy zostali sami, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

- David znalazł kogoś, kto chciałby się z tobą spotkać.

Justin zeszywniał.

- Moja...?

- Nie, to mężczyzna. Nazywa się Primo Rinucci. Jego macocha urodziła dawno temu dziecko, które odebrano jej zaraz po porodzie. Od lat starają się je odnaleźć, rozpuścili wici, gdzie tylko się dało, prosząc o pomoc. Wiele wskazuje na to, że właśnie ciebie szukają.

- Dobry Boże...

- Pomyśl, jeśli to ona... Tyle lat tęskni za tobą...

- Nie mów tak, Evie, proszę, nie wzbudzaj we mnie nadziei.

- Masz rację, kochany... - Dobrze wiedziała, że muszą iść tym śladem, inaczej wątpliwości nie dałyby im w spokoju żyć. Wiedziała jednak również, że jeżeli Justin dozna rozczarowania, może go to zniszczyć do końca, a tego nie wybaczyłyby sobie nigdy.

- Czego jeszcze dowiedziałas się o tym człowieku? spytał.

- Pochodzi z Neapolu i przyleci tu, by spotkać się z tobą.

Umówiłam go na pojutrze.

- Mam ważne spotkanie.

- To przesun termin.

- Więc to być może koniec drogi...

- Chcesz, żebym z tobą poszła?

- Bez ciebie na pewno z nim się nie spotkam. Czasem wydaje mi się, że już nic nie jestem w stanie bez ciebie zrobić. Trzymasz mnie przy życiu niczym mocna lina. I gdyby ta lina się zerwała, wpadłbym w jakąś czarną dziurę, z której nie ma wyjścia.

- Justin... - A więc to tak wyznał jej miłość. Zwykle brzmi to prościej, „kocham cię”, lecz on niczego nie robił jak inni faceci.

- Ładnie to owinałem w bawełnę, prawda?

- Dam sobie radę, wiadomość została odebrana.

- Cieszę się, bo są takie rzeczy, których po prostu nie potrafię, jak choćby wypowiedzenie tych dwóch słów - dodał z desperacją.

Słyszała je wiele razy, lecz nic z tego nie wynikło. Najwyraźniej potrzebowała niezbyt wymownego, mało taktownego faceta z bolesną przeszłością.

- Pamiętasz ten wieczór, kiedy znaleźliśmy Marka na cmentarzu, a potem przyszedł do nas i śmiałaś się, patrząc jak szczeniaki wyjadają z misek karmę?

- Jasne.

- Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś tak ciepło i serdecznie się śmiał, zupełnie jakbyś znała tajemnicę życia. Evie... muszę cię o coś zapytać. Czy chcesz być ze mną?

Spojrzała na niego zalotnie.

- Muszę dobrze przemyśleć wszystkie za i przeciw.

- Znowu robisz sobie ze mnie żarty.

- Może troszeczkę. - Poglaskała go po policzku.

- Znam dobrze świat biznesu, świetnie poruszam się w jego zawiłościach, ale miłość, kobiety to...

Roześmiała się ciepło.

- Nie idzie ci aż tak źle. Oczywiście musisz nad tym sporo popracować... - przekornie spojrzała mu w oczy - ale mam nadzieję, że szybko się uczysz.

Justin uniósł jej dłoń do ust.

- Najważniejsze, że ze mną jesteś, Evie.

Spotkali się na neutralnym gruncie, w restauracji.. Primo Rinucci okazał się wysokim mężczyzną tuż po trzydziestce. Mówił nienagannym angielskim. Evie była przygotowana na najgorsze, ale gdy go tylko zobaczyła, wiedziała, że znaleźli właściwego człowieka. Justin zachowywał się sztywno i niezgrabnie. Nachmurzony, spoglądał na przybysza spode łba.

David po dokonaniu prezentacji taktownie zniknął.

- Zadzwoń do mnie później - szepnął na pożegnanie do Evie.

- Justin, myślę, że najlepiej będzie, jak najpierw opowiem o sobie - zaczął Primo. - Urodziłem się w Anglii i spędziłem tu pierwsze lata życia. Mój ojciec był Anglikiem. Nazywał się Jack Cayman. Moja matka była Włoszką. Jej panieńskie nazwisko brzmiało Rinucci. Umarła, kiedy byłem małym dzieckiem, a ojciec ożenił się powtórnie z młodą Angielką, Hope Martin. To wyjątkowa kobieta i znalazłem w niej prawdziwą matkę. Niestety jednak to małżeństwo nie przetrwało zbyt długo, a wkrótce potem ojciec zmarł. Wyjechałem do Włoch do rodziców mojej matki i przyjąłem jej nazwisko, ale Hope wkrótce mnie odwiedziła. Moja włoska rodzina ciepło ją przyjęła, a mój wuj Toni zakochał się w niej. Byłem bardzo szczęśliwy, kiedy się pobrali,

również dlatego, że mogłem z nimi zamieszkać. Poczulem, że odzyskałem matkę. Wiele lat później, już jako dorosły człowiek, dowiedziałem się, że Hope urodziła dziecko, zanim jeszcze poznała mojego ojca. Miała wtedy zaledwie piętnaście lat i jej rodzice zażądali, by oddała dziecko do adopcji. Byli wściekli, gdy odmówiła, więc uknuli diabelski plan. Nigdy nie zobaczyła swego synka, bo powiedziano jej, że urodził się martwy. Dopiero po latach dowiedziała się prawdy. Rodziła w domu, a poród odbierała jej ciotka, która po kryjomu wywiozła niemowlę do innego miasta. Hope nie miała o tym pojęcia.

Na twarzy Justina nie było żadnych uczuć, twardo wpatrywał się w Prima. Za to w oczach Evie malowało się skrajne przerażenie.

- Hope bardzo cierpiała - mówił dalej Primo - ale wciąż miała dziwne przeczucie, że jej syn żyje. Cały czas się zastanawiała, jak mogły potoczyć się jego losy i trudno jej było znieść myśl, że jest nieszczęśliwy i przekonany o tym, że go porzuciła.

Po twarzy Justina przemknął grymas bólu.

- Jak się dowiedziała, że jej syn żyje? - zapytała Evie.

- Tuż przed śmiercią ciotka, która odbierała dziecko, wyznała Hope prawdę. Moja matka zrozumiała, że przeczucia jej nie myliły. Poznała datę urodzin i płeć dziecka. Lecz nic więcej. - Primo położył na stole pozółkły skrawek papieru, na którym widniała data. Była o dwa tygodnie wcześniejsza od jego oficjalnego aktu urodzenia. - Zdarzyło się to piętnaście lat temu i odtąd nie ustajemy w poszukiwaniach. Całe wieki zajęło mi wytropienie miejsca, gdzie

ciotka oddała syna Hope. W końcu trafiłem na ślad rodziny o nazwisku Strassne.

Justin zacisnął kurczowo palce na ręce Evie.

- Okazało się, że przez kilka lat żył z nimi jako Peter Strassne - powiedział Primo - ale potem przyjął nową tożsamość i coraz trudniej było prześledzić jego losy. Podobno Peter Strassne stał się Frankiem Davisem, lecz tu trop się urwał, bo nikt nie słyszał o Franku Davisie.

Nic dziwnego, pomyślała Evie, skoro tyle razy zmieniał nazwisko.

- Po prostu rozpłynął się w powietrzu - zakończył Primo. - Moją jedyną nadzieją było to, że może on także zacznie szukać matki i nasze tropy się skrzyżują. Myślę, że już znam odpowiedź, jednak dla pewności spytam: czy kiedykolwiek nazywałeś się Peter Strassny?

Justin powoli pokiwał głową, a potem podał mu teczkę z dokumentami.

Primo przejrzał je i po chwili powiedział:

- To mi całkowicie wystarczy.

- I to już wszystko? Takie to było proste? Parę świstków i sprawa załatwiona? - wycedził przez zęby Justin.

- Znałem odpowiedź, gdy tylko cię zobaczyłem, bo podobieństwo do matki jest wprost uderzające. Są testy krwi, które mogą to ustalić, ale ja nie mam żadnej wątpliwości, że jesteś pierworodnym synem Hope Rinucci.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Samolot z Londynu do Neapolu odlatywał bardzo wcześnie rano, przenocowali więc w hotelu przy lotnisku.

- Toni wie, dlaczego poleciałem do Londynu - powiedział Primo, gdy siedzieli przy kolacji - ale mamie nic nie mówiłem. Dziś dzwoniłem do domu, Toni już przygotował ją na nasz przyjazd. Od lat marzyła o tej chwili, więc będzie to dla niej niezwykle silne przeżycie.

- Czy czeka tam na nas cała wasza rodzina?

- Na początek spotkacie się tylko z Hope, a dopiero potem poznacie innych.

- Czy to prawda, że Hope ma pięciu synów?

- Tak, ale nie wszyscy z nas są jej rodzonymi synami. Jeszcze gdy była z moim ojcem, adoptowali Luka. Potem przyszedł na świat Francesco, bo zakochała się w jego ojcu Francu, który był prawdziwym powodem rozvodu z moim ojcem. Carlo i Ruggiero są synami jej i Toniego. Tak więc - spojrzał przyjaźnie na Justina - jakby na to nie patrzeć, masz pięciu braci. Mama chciałaby też poznać swojego wnuka. Była rozczarowana, że go z sobą nie zabierasz, choć ja uważam, że mądrze zrobiłeś.

- Muszę najpierw sobie to wszystko poukładać - powiedział Justin.

- Signorina - Primo zwrócił się po włosku do Evie - jestem zachwycony, że mówi pani w moim języku.

- Niestety nie znam dialektu neapolitańskiego.

- Będzie mi bardzo miło, jeśli będę mógł pani pomóc. Wybacz, Justin, tę moją być może natrętą gorliwość, ale i ty na tym skorzystasz, bo im lepiej panna Wharton będzie władać włoskim, tym lepiej dla ciebie. Ale cóż, miło się gada, ale jutro musimy wcześniej wstać, więc pora do łóżek. Dobranoc.

- Dobrze się czujesz? - spytała Evie, gdy byli już w pokoju. - Przez cały wieczór byłeś taki cichy.

- Evie, zapomnijmy o tym wszystkim i wracajmy do domu. - Zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

- Justin nie możesz tego zrobić, przecież jesteś już tak blisko celu.

- Świetnie, tylko co ja, po tylu latach, mam wspólnego z tą kobietą?

- Justin, złamiesz jej serce. Powiedz, dlaczego nie chcesz tam jechać? Co cię dręczy?

- Myślałem, że jestem silny, a ja tylko takiego grałem, bo inaczej by mnie zjedli. Tak naprawdę tchórz ze mnie. Teraz to widzę.

- Boisz się, i ja to rozumiem. Każdy by się bał. Ale to wcale nie znaczy, że jesteś tchórzem. Tęskniłeś za matką przez tyle lat, spychałeś ten ból gdzieś w głąb swej duszy, a teraz masz wreszcie ją spotkać. To cudowne... i przerażające zarazem. Wiedz jednak, że od kiedy dowiedziałeś się o Hope, już nigdy nie będziesz taki sam. Świat nie będzie taki sam. Nigdzie się przed tym nie skryjesz. Justin, jedź do matki.

- Tylko ty wiesz, co się we mnie dzieje, tylko ty znasz moje słabości. I jesteś jedyną osobą, której całkowicie ufam. Jesteś wszystkim czego pragnę, nic innego się nie liczy. Chcę spędzić z tobą życie. Z czułością dotknęła jego twarzy.

- Cudownie, że mi to mówisz. Kocham cię, Justin. Ale to, co wydarzy się jutro, jest najważniejsze na świecie. Będę przy tobie cały czas. Nie możemy się teraz wycofać.

- Masz rację... Wszystko zniosę, tylko nie opuszczaj mnie.

- Możesz być tego pewien, najdroższy.

Przycisnął ją do siebie jak bezcenny skarb. Potem kochali się długo i namiętnie, a ona poczuła w sobie wielką moc i pragnienie, by go chronić. Ale gdzieś na dnie jej serca pojawił się maleńki cień. Justin powiedział, że chce spędzić z nią resztę życia i chociaż nie była to jeszcze oficjalna propozycja, dobrze wiedziała, do czego zmierzał.

Wczesnym popołudniem zbliżali się do willi Rinuccich.

Evie nie posiadała się wprost z zachwytu. Tak bardzo marzyła, by zwiedzić kiedyś tę okolicę, że teraz niemal zapomniała, jaki był cel ich podróży. Podziwiali cudowną panoramę Zatoki Neapolitańskiej, a gdy dojechali już na miejsce, pomyślała, że dom Rinuccich przypomina mały, baśniowy pałacyk. Był z kamienia w kolorze miodu, a dookoła niego znajdował się zadaszony taras podparty arkadami.

Samochód zatrzymał się na podjeździe przed domem, na którym czekał starszy mężczyzna.

- To jest Toni - wyjaśnił Primo.

Toni od razu rozpoznał w Justinie rysy swojej żony. Po krótkim powitaniu zaprosił ich do środka.

- Primo zapewniał mnie, że jesteś tym, kogo szukamy, i teraz widzę, że się nie mylił - powiedział Toni. – Gdybym nie był tego pewien, możesz mi wierzyć, że nie dopuściłbym do spotkania z Hope. Ona to bardzo przeżywa. Już nie może się ciebie doczekać. Prosiła, żebyś wszedł do niej, jak tylko przyjedziesz.

Justin spojrzał niepewnie na Evie.

- Idź. Teraz liczycie się tylko ty i ona - szepnęła.

Toni otworzył drzwi. W głębi pokoju przy wielkim oknie siedziała kobieta. Gdy Justin wszedł do środka, wstała. Powoli zmierzali naprzeciw siebie - aż padli sobie w objęcia.

Toni zamknął drzwi.

- Proszę mi wybaczyć, że nie powitałem pani jak należy - zwrócił się do Evie. - Jest pani gorąco oczekiwanym gościem. Pokojówka pokaże pani pokój, a kiedy już będzie pani gotowa, proszę zejść na dół. Wtedy przedstawię nieokrzeszańców zamieszkujących ten dom.

Maria wskazała jej drogę na górę. Evie była pod wielkim wrażeniem wspaniałej, przestronnej willi, której podłogi wyłożono kamieniem w odcieniu ciepłej czerwieni i brązu. Pokoje urządzone były w rustykalnym stylu. Drewniane meble świadczyły o dobrym guście i zamożności.

Evie szybko się rozgościła i wiedzona ciekawością zeszła na dół.

- Primo wszystko nam o pani opowiedział. - Toni uściskał ją raz jeszcze. - Właściwie pani zawdzięczamy odnalezienie syna. Moja żona bardzo pragnie panią poznać, ale najpierw proszę coś zjeść i napić się z nami wina.

Wyszli na taras, gdzie czekali na nią pozostali synowie państwa Rinuccich: adoptowany Luke, dziecko miłości Francesco oraz bliźniacy Ruggiero i Carlo. Wszyscy zasypali ją pytaniami, a Ruggiero na jej widok wykrzyknął po włosku dość bezpośrednio, choć na szczęście nie aż nazbyt bezpośrednio zachwyty nad jej urodą. Toni natychmiast go upomniął, również po włosku, a gdy Evie w tym samym języku zapewniła go, że nie powinien się denerwować, bo kobiecie zawsze miło usłyszeć komplementy, Ruggiero najpierw lekko się skonfundował, a potem wszyscy wybuchnęli śmiechem. Odtąd rozmawiali już tylko po włosku.

- Skoro nie jesteś jeszcze żoną Justina - powiedział Ruggiero, rzucając okiem na jej dłoń - to może, póki czas, mamy u ciebie jakieś szanse?

- Zachowuj się przyzwoicie - znów upomniął go ojciec. Umilkł więc, ale cały czas zerkał na nią z fascynacją.

A gdy rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie, pomyślała rozbawiona, że jest uroczym kobieciarzem.

- Primo powiedział nam, że jesteś naszą bratową - odezwał się Francesco.

- Znamy się dopiero od kilku tygodni...

- Ale to pani pomogła mu znaleźć drogę do tego domu i panią wybrał, aby mu w tej drodze towarzyszyła. Znaczy to tyle, że traktuje panią jak swoją żonę i tak będzie pani traktowana przez wszystkich mężczyzn w tym domu - powiedział Toni, spoglądając spod oka na Ruggiera. - Jeśli któryś z nich ośmieli się sprawić pani przykrość, proszę mnie o tym poinformować, a stłukę go na kwaśne jabłko.

- Z pewnością nie będzie takiej konieczności - odparła z uśmiechem.

W ciągu niespełna godziny zaprzyjaźniła się ze wszystkimi braćmi Justina i dobrze się poczuła w ich towarzystwie. Gdyby tylko Justin również zaprzyjaźnił się z nimi... Właśnie rozmawiał z matką. Jak sobie radzi? - myślała z niepokojem.

W chwilę później matka i syn pojawili się wśród nich.

- On do mnie wrócił - powiedziała Hope przez łzy, gdy podeszli do Toniego. - Tak jak się zawsze tego spodziewałam.

- Tak, najdroższa.

Justin nie odrywał od matki oczu. Był wyraźnie oszołomiony. Evie nawet nie starała się sobie wyobrazić, co teraz czuje. Na jego twarzy malowało się skupienie, jednak prawdziwe emocje swoim zwyczajem skrywał w sobie. Nie potrafił ich okazać, nawet w tak niezwyklej chwili. Uśmiechnęła się, pragnąc dodać mu odwagi, skłonić, by zrzucił z siebie obronną maskę. Szkoda, że nawet w takiej chwili był tak bardzo zamknięty w sobie.

Bracia kolejno przywitali się z Justinem.

- Teraz - powiedziała z uśmiechem Hope - mam wszystkich moich synów przy sobie.

- Poznaj Evie, moja droga - odezwał się na to Toni.

Hope uścisnęła ją serdecznie, przesywając przenikliwym spojrzeniem. Było w nim wszystko: wnikliwa analiza, zapytanie o zamiary i podziękowanie. Evie zastanawiała się, co Justin opowiedział o niej matce i nie mogła się już doczekać chwili, kiedy będą mogli porozmawiać bez świadków. Wiedziała jednak, że nie nastąpi to szybko.

Hope pokazała Justinowi jego pokój. Sposób, w jaki trzymała go pod ramię, również dawał wiele do myślenia. Ten pełen akceptacji uścisk był dla niego prawdziwym dobrodziejstwem.

Resztę popołudnia Evie spędziła z bliźniakami, ucząc się neapolitańskiego dialektu. Potem Toni pokazał jej swoją bibliotekę, gdzie zachwyła go jej zdolność do tłumaczenia starych tekstów.

- Naprawdę doskonale posługuje się pani włoskim - powiedział oczarowany.

- Mam nadzieję, bo w ten sposób zarabiam na życie. Plus jeszcze francuski.

- Z francuskiego też pani tłumaczy? Naprawdę jestem pod wrażeniem. Nawet pani nie wie, jak się cieszę, że już wkrótce oficjalnie wejdzie pani do naszej rodziny.

- Proszę, nie...

- Rozumiem, sprawa jest delikatna. Obiecuję, że nie będę do niej wracał.

Wieczorem cała rodzina zasiadła do kolacji. Justin usiadł obok Hope. Evie z zadowoleniem zauważyła, że uśmiecha się i swobodnie rozmawia z matką.

- Kiedy poznam twojego syna? - spytała Hope. - To mój pierwszy i jak na razie jedyny wnuk. Nie zanosi się, aby moi pozostali synowie szczególnie się do tego kwapili. - Gdy wokół stołu rozległy się pomruki i zaprzeczenia, jako że był to gorący temat w rodzinie Rinuccich, tylko machnęła ręką. - Dlaczego nie pošlesz po niego? Sprowadź go tutaj. - Powiedziała to czarującym głosem, ale dało się w nim wyczuć cień rozkazu.

Evie pomyślała, że jest przyzwyczajona do szybkiego spełniania swoich życzeń.

- Wolę przygotować go na takie spotkanie.

- Nie może tego zrobić twoja gospodyni? No i może go tu przywieźć.

- Lily boi się latania, a Mark jest za mały, żeby sam podróżował - wtrąciła się Evie. - Ale ja mogę po niego pojechać. Jeśli wylecę jutro, wrócimy następnego dnia.

Hope z radością przystała na tę propozycję i szybko ucięła protesty swoich synów, którzy nie byli zadowoleni z utraty miłego towarzystwa.

Po posiłku Evie pożegnała się ze wszystkimi, tłumacząc, że przed jutrzejszym lotem chce się wcześniej położyć. Miała wielką ochotę porozmawiać z Justinem, ale na razie należał do matki.

Późnym wieczorem przyszła do jej pokoju Hope.

- Mam nadzieję, że nie zjawiam się za późno, ale chciałam zamienić z tobą kilka słów. Nie miałyśmy jeszcze okazji bliżej się poznać, ale jestem przekonana, że nikt nie zna mojego syna - szczególnie nacisk położyła na dwa ostatnie słowa - lepiej od ciebie.

- Sama nie wiem, po raz pierwszy spotkaliśmy się zaledwie kilka tygodni temu - odparła niezbyt pewnie Evie.

- Czas nie odgrywa tu roli. Justin twierdzi, że poznałaś go lepiej niż ktokolwiek inny w ciągu całego jego życia.

- Trudno sobie wyobrazić, by mógł być z kimś naprawdę blisko, poza Markiem oczywiście.

- Och, mój wnuczek... Bardzo za nim tęsknię. To miło z twojej strony, że po niego pojedziesz. Nie będę cię już dłużej absorbować i życzę ci miłej podróży. - Ucisnęła ją serdecznie i wyszła.

Mark nie mógł się już doczekać, kiedy znajdzie się wreszcie w Neapolu. Justin opowiedział mu przed wyjazdem część historii, ale reszta należała do Evie. W czasie lotu bez przerwy spoglądał na zegarek.

- Spieszysz się? - zażartowała.

- Jeszcze tylko trzydzieści minut lotu i drugie trzydzieści odprawy paszportowej, a potem poznam moją rodzinę - powiedział rozgorączkowany. - Ale ty też należysz do naszej rodziny, prawda?

- Chyba jeszcze nie...

- No, ale przecież ty i tata...

- Nie jestem pewna, czy...

- Tata tak na ciebie patrzy... A już zawsze się rozchmurza, kiedy wkładasz bikini.

Przemknęło jej przez myśl, że związała się z Justinem na dobre i na złe. I co więcej, nie słyszała już w głowie alarmującego dzwonka, ale radość i satysfakcję.

Na lotnisku czekali na nich Justin i Hope. Babcia nie mogła oderwać oczu od wnuka.

- Mark - powiedział Justin - to jest twoja babcia.

Evie kilka razy przećwiczyła z nim ten moment podczas lotu. Mark podał jej rękę i powiedział:

- *Buon giorno*, signora.

Zakrzyknęła z radości i już chciała go uścisnąć, ale wyczytała w jego oczach, że jak większość chłopców w tym wieku, nie lubi takich oznak czułości w miejscu publicznym. Skończyło się więc na uściśnięciu ręki. Tym powściągliwym zachowaniem zdobyła jego sympatię.

Justin przytulił Evie i szepnął jej do ucha:

- Hope umierała z niecierpliwości, kiedy wrócisz. I ja też.

Wszelkie obawy związane z reakcją Marka na nową krewną okazały się bezpodstawne. Już po paru minutach znaleźli wspólny język i chłopiec, ku jej radości, nazywał ją „nonna”, czyli po włosku „babcia”.

W domu powtórzyły się powitalne ceremonie sprzed kilku dni. Mark cieszył się z hałaśliwego powitania Toniego i jego synów.

Wszedł do rodziny z jeszcze większą łatwością niż Justin, który wprowadził Evie do swego pokoju i szybko zamknął za sobą drzwi.

- Nawet nie wiesz, jak za tobą tęskniłem - szeptał między pocałunkami. - Gdzie byłaś tak długo?

- Tak długo? - droczyła się z nim. - To przecież tylko niespełna dwa dni. Nie mów mi, że miałeś czas o mnie pomyśleć, mając na głowie całą tę czeredę. Powiedz lepiej, jak ci się układa z matką?

- Całkiem dobrze.

- I to już koniec?

- Na razie tak. Jak dla mnie to trochę za duże tempo. Ale z całą pewnością jestem synem Hope, bo podobieństwo jest uderzające... Wciąż jednak mi się zdaje, że za chwilę się obudzę i wszystko okaże się tylko snem.

- Tak nie będzie - powiedziała Evie z czułością. - Znalazłeś wreszcie swoją matkę, ale najważniejsze w tym wszystkim jest to, że ona nigdy cię nie porzuciła. Kochała cię przez wszystkie te lata i zawsze będzie cię kochać. Jej miłość niweczy całe to zło, które wydarzyło się od twoich narodzin aż do teraz.

- Jak zawsze masz rację, Evie. Widzisz to, czego ja nie widziałem, lecz dzięki tobie wreszcie zaczynam dostrzegać.

- Zobaczysz, będzie dobrze, dasz sobie radę.

Później zastanawiała się, jak mogła być tak ślepa i głupia, żeby nie zauważyć otwierającej się pod nimi przepaści. On ją dostrzegł, ponieważ jednak miał trudności z wyrażaniem uczuć, nie znalazł

odpowiednich słów, żeby jej o tym powiedzieć. A potem było już za późno.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W willi Rinuccich wrzało. Od kilku dni wszystko stało tu na głowie. Wkrótce miało odbyć się przyjęcie, na którym Hope zamierzała przedstawić swojego syna i wnuka przyjaciołom. Cały świat miał się dowiedzieć, jaką radość przeżywa signora Rinucci.

Podczas gdy Hope rzuciła się w wir przygotowań, pozostali członkowie rodziny starali się lepiej nawzajem poznać. Justin spędzał dużo czasu z Tonim i Primem. Jego relacje z Primem naznaczone były pewną drażliwością, ale starał się być serdeczny, zdając sobie sprawę, ile mu zawdzięcza. Obaj byli biznesmenami, więc w tej kwestii dobrze się dogadywali. Francesco i Luke musieli zająć się pracą, a Ruggiero i Carlo woleli wrócić do apartamentów w Neapolu. Jak określała to ich matka, niezbyt dobrze się prowadzili. Postawili sobie jednak za punkt honoru opiekę nad Evie i Markiem. Marka ciągnęło do bardzo jeszcze chłopięcego Carla, który stał się jego ulubionym wujkiem. Prześcigali się w żartach i niezbyt wyrafinowanych dowcipach. Carl, chcąc być grzeczny dla gościa, mówił po angielsku, ale gdy tylko atmosfera rozluźniała się, płynnie przechodził na włoski. Evie z rozbawieniem zauważyła, że Mark skrupulatnie notował każde włoskie przekleństwo. Bitwa na słowa trwała cały wieczór i została przerwana dopiero na wyraźne polecenie Hope.

Mark poszedł spać bardzo szczęśliwy, a cały następny dzień popisywał się neapolitańskimi przekleństwami przed Carlem.

- Cicho! - karcił go wuj, przykrywając mu usta ręką i grożąc palcem. - Powiem ci, co to znaczy, jak będziesz starszy.

- Sporo starszy - skwitowała Evie, która uczyła się równie szybko jak Mark.

Sama wołała towarzystwo Ruggiera. Był spokojniejszy, nieco zadumany, ale miał w sobie pewną dzikość, czym przypominał jej Justina.

Był zapalonym motocyklistą, co jeszcze bardziej ich zbliżyło. Zniknęli tego dnia na wiele godzin, bo Ruggiero chciał jej koniecznie zaprezentować możliwości swojej maszyny. Zanim odjechali, doszło do nie milego zgrzytu, bo gdy Ruggiero zapytał Justina, czy może porwać Evie na popołudnie, ona powiedziała nonszalancko:

- Nie potrzebuję niczyjego pozwolenia. Chodź, idziemy! - Cmoknęła Justina w policzek i już jej nie było.

Ta zabawa zajęła im dużo więcej czasu, niż się spodziewała. Kiedy rozbawieni wracali do domu, dostrzegli, że z tarasu przygląda im się cała rodzina.

- Spóźniliście się na kolację - krzyknął Carlo.

- Nic dla was nie zostało - przyłączył się Mark - a macie czego żałować, bo było pyszne. - Poklepał się po brzuchu.

- Coś tam zostało - powiedziała z uśmiechem Hope. - Zaraz powiem, żeby wam podano.

Jedzenie rzeczywiście było wyśmienite. Jedli bez pośpiechu, a Mark obsługiwał ich przy stole, zasypując przy tym pytaniami.

Justina zobaczyła dopiero później.

- Opowiesz mi, jak ci minął dzień? - zapytała.

- Wygląda na to, że moglibyśmy prowadzić wspólne interesy z Primem. Jest jeszcze wprawdzie wiele do przedyskutowania, ale zapowiada się nieźle.

- Zarobicie fortunę! - uśmiechnęła się.

- Mam taką nadzieję.

- Widzę, że nie zmarnowałaś dnia.

- Też chyba nie masz powodu do narzekania.

- Ach, było wspaniale - powiedziała rozpromieniona. - Jak tylko wrócimy do Londynu, sprzedam swój motor i kupię taki, jaki ma Ruggiero. Mówię ci, ta prędkość, jeszcze nigdy czegoś takiego nie czułam.

- Martwiłem się o ciebie. - W głosie Justina słyszalna była nutka niezadowolenia.

- Całkiem niepotrzebnie.

- Pewnie jeździłaś jak szalona na tej dzikiej maszynie. Nawet nie chcę wiedzieć, ile było na liczniku.

- Lepiej o tym nie myśl, ale pamiętaj, że zawsze jeżdżę bezpiecznie.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że sama prowadziłaś?!

- Jasne, że tak. Chyba nie sądzisz, że zadowolłam się tylnym siodełkiem?

- Jesteś szalona!

- A to ci nowina. Wiesz przecież o tym...

- Denerwowałem się, nie rozumiesz?

- Rozumiem, ale potrzebowałam odrobiny szaleństwa -

powiedziała nieco łagodniej. - Teraz przez jakiś czas mogę znowu grzecznie posiedzieć.

- Obiecuj mi, że więcej tak nie zrobisz.

- O nie, przed naszym wyjazdem chcę przejechać się jeszcze raz.

- Ale na tylnym siodełku...

- Justin, daj już spokój, sama będę o tym decydować. Zostawmy to już.

- Nie mam zamiaru niczego zostawiać. - Oczy pociemniały mu ze złości. - Nie podoba mi się, że ryzykujesz swoje życie ani to, że znikasz na całe godziny z obcym facetem.

- Z obcym facetem? Masz na myśli tego chłopaczka? Jestem dla niego jak starsza siostra.

- Wcale nie jest chłopaczkiem... I co, może też traktuje cię jak starszą siostrę?

- Naturalnie, że tak. - Próbowwała nie myśleć o silnych ramionach Ruggiera, które obejmowały ją od tyłu, gdy to ona prowadziła motor, a potem o jego pełnym podziwieniu, które niewiele miało wspólnego z szaloną jazdą na motorze. Było jasne, że z nią flirtował, balansując na ledwie wyczuwalnej granicy. Gdy ją przekraczał, płoszyła go śmiechem. Zawsze uważała, że flirtowanie to jedna z największych przyjemności w życiu, ale dobrze wiedziała, kiedy

skończyć. Uświadomiła sobie właśnie, że Justin nigdy tego nie zrozumie. - Traktuje mnie jak zapaleńca. To tak jak w klubie, wszyscy mają fioła na tym samym punkcie. Poza tym miałeś dzięki temu więcej czasu dla mamy.

- Jest pochłonięta szykowaniem przyjęcia.

- No to mogłeś pogadać z Primem o interesach... No dobrze, przepraszam cię i zapomnijmy już o tym. - Z jednej strony zrobiłaby dla niego wszystko, by był szczęśliwy, ale z drugiej bardzo trudno jej było pogodzić się z utratą niezależności. - Zostawmy to już.

- Nie pojedziesz już z nim?

- Proszę cię, przestań mnie kontrolować i mną komenderować.

Justin wciągnął ze świstem powietrze. Evie zobaczyła w jego oczach strach. Przez chwilę wpatrywali się w siebie, oboje zszokowani tą bezsensowną, głupią kłótnią.

- Przepraszam cię - wycofał się po chwili. - Bardzo mi przykro, nie wiem co mnie naszło. Proszę, zapomnij o tej sprawie. - Wyszedł bez pożegnania.

Evie poczuła się opuszczona i samotna. Była zła na siebie, że nie potrafiła tego lepiej rozegrać. Odwróciła się i zobaczyła na schodach Hope. Trudno było powiedzieć, ile usłyszała z ich rozmowy.

Następny dzień spędziła, buszując po sklepach z ciuchami w Neapolu. Z zakupów wróciła z długą, jedwabną, dopasowaną suknią, która uczyniła z niej zupełnie inną kobietę. Nowa kreacja dodawała jej wyrafinowanej elegancji. Właśnie się zastanawiała, jaką biżuterię włoży na dzisiejszy wieczór, gdy do jej pokoju zapukał Justin. W rękę

trzymał diamentowy wisiołek i kolczyki, które idealnie pasowały do sukienki.

- Kupiłeś to dla mnie? - spytała zaskoczona.

- Nie. Hope poprosiła, żebym ci to dał. - Zawsze mówił o swojej matce Hope, nigdy inaczej.

- Boże, jakie to piękne... Zapniesz mi wisiołek?

- Jeszcze raz cię przepraszam za moje głupie uwagi na temat tego wyjazdu z Ruggierem - zamruczał Justin.

- Już o tym zapomniałam. Wiem, że motor to nie twoja specjalność. - Gdy pocałował ją czule w szyję, dodała szeptem pełnym pożądania: - Lepiej mnie teraz nie całuj. Za chwilę zaczyna się przyjęcie.

- Chcę tylko, żebyś wiedziała, że... No wiesz...

Ten wieczór miał być wyjątkowy, jeden z tych, których nie zapomina się do końca życia. Długie stoły uginały się pod jedzeniem. Znalazły się tam neapolitańskie flaczki, gotowane karczochy, owoce morza, kremy i wino podawane w pięknych kryształowych kieliszkach. Hope dopilnowała wszystkiego. Młoda, zagubiona dziewczyna, która niegdyś utraciła dziecko, przeobraziła się w silną, energiczną, pełną autorytetu kobietę.

Podczas powitania Justin i Mark stali cały czas obok niej, by wszyscy od razu poznali się z nimi.

- Dziękuję bardzo - powiedziała Evie do Hope, gdy przywitała już wszystkich gości. W rękę ścisnęła diamentowy wisiołek.

- Dostałam to od męża, ale nie myśl, że Toni o tym nie wie. Naturalnie poparł moją decyzję. Mam nadzieję, że już wkrótce będziesz należeć do rodziny.

Po chwili zniknęła w tłumie, nie dając Evie szans na żadne wyjaśnienia. Taką już miała metodę - powiadamiała innych o swoich życzeniach. Z niejakim rozbawieniem Evie stwierdziła, że nie tyle poprosiła ją o wejście do rodziny, co raczej wydała takie polecenie.

- Sprawiasz wrażenie osamotnionej - szepnął jej ktoś do ucha po włosku.

- Ja? - To był Primo. - Przed chwilą skończyłam rozmawiać z Hope.

- I powiedziała ci już, jakie ma plany wobec ciebie? - zapytał z uśmiechem. - Nie bierz jej tego za złe, ma dobre serce i chce, żeby każdy był tak szczęśliwy jak ona.

- Rozumiem i wcale się nie gniewam.

- Zatańczysz ze mną?

Evie skinęła głową i ruszyli na parkiet.

- Jesteś atrakcją dzisiejszego wieczoru - powiedział podczas walca. - Wszyscy mężczyźni wodzą za tobą wzrokiem i zazdroszczą Justinowi.

- Nie żartuj sobie ze mnie.

A jednak coś w tym było. Czowała, że jest pod ostrzałem męskich spojrzeń.

Chciała chwilę odpocząć, dlatego usiadła na małą pogawędkę z Primem. Rzuciła okiem na salę i zobaczyła, że zbliża się do nich

Justin. Miała nadzieję, że do nich podejdzie, ale coś go powstrzymało. Nagle odwrócił się i porwał do tańca jakąś włoską piękność.

- Nie mów do mnie po włosku - zwróciła się do Prima. - To irytuje Justina, wyklucza go z rozmowy. Dobrze o tym wiesz.

Wzruszył demonstracyjnie ramionami.

- Wyklucza go? Chyba nie może się poczuć wykluczony ktoś, dla kogo urządzone zostało takie przyjęcie. Jest przecież bohaterem wieczoru.

- Nie lubisz go, prawda?

- Dziwi cię to? Nie tak łatwo go polubić.

- A te wszystkie opowieści o braterskiej miłości?

- Tak naprawdę nie jesteśmy braćmi, nie łączą nas żadne więzy krwi. To on jest rodzonym synem naszej matki, ja nie.

Gorzki ton, z jakim wypowiedział to ostatnie zdanie, coś jej uświadomił.

- Primo, jesteś zazdrosny.

- Czy to dziwne?

- A potrafisz sobie wyobrazić, co on czuł, kiedy był przekonany, że porzuciły go dwie matki? Naprawdę nie masz mu czego zazdrościć.

- Widzę, że nie rozumiesz włoskiej natury. Mimo angielskiego ojca, czuję się Włochem. Nie jesteśmy jak zimnokrwieści Anglosasi, dla nas rodzina to najwyższa wartość, a matka jest jej sercem. Hope jest dla mnie jedyną matką, jaką znałem, a kiedy byłem dzieckiem, byliśmy z sobą bardzo związani. Sądziłem przez lata, że jestem jej najstarszym synem, a teraz odkryłem, że to nieprawda. Zacząłem się

zastanawiać, czy nasza zażyłość była tylko iluzją, czy byłem dla niej może jedynie namiastką syna, którego utraciła?

Evie aż się wzdrygnęła. Zbyt dobrze pamiętała opowieść Justina o jego adopcyjnych rodzicach.

- Ale to ty go latami szukałeś i to ty go znalazłeś.

- Dla niej, żeby była szczęśliwa. I wreszcie jest. Cieszę się razem z nią, ale też, nie będę ukrywał, jestem zazdrosny.

- Mam nadzieję, że nie pozwolisz, żeby ta zazdrość wszystko zepsuła.

- Oczywiście, że nie. Poza tym jest w końcu moim bratem, a kto powiedział, że bracia muszą się we wszystkim zgadzać?

- No tak... - Odeszła zamyślona.

- Czy teraz może moja kolej? - To był Justin. - Przez cały wieczór nie mogłem się do ciebie dopchać.

- Mogę to samo powiedzieć. Chyba jestem jedyną kobietą, z którą jeszcze nie tańczyłeś.

- Lecz bardzo chcę zatańczyć.

- Tak się cieszę. Wspaniałe przyjęcie, prawda?

- Masz rację. Przerasta wszelkie moje wyobrażenia.

- Widzisz, nigdy nie wiadomo, co nas spotka za kolejnym zakretem.

Przytulił ją do siebie, kołysali się w takt muzyki. Poczuli, że już nigdy nie chce opuścić tych ramion. Gdy uniosła głowę, by w oczach Justina znaleźć potwierdzenie swoich uczuć, zauważyła ze zdziwieniem, że bacznie się jej przygląda. Lecz nie było w tym

spojrzeniu miłości i oddania, tylko głęboka niepewność. Evie nigdy dotąd nie widziała tak zdesperowanego mężczyzny.

- Czy naprawdę musisz już jechać? - zapytała ze smutkiem Hope. - Czy po to odzyskałam syna, by zaraz go stracić?
 - Nie tracisz mnie, wrócę, ale muszę zadbać o interesy.
 - Proszę cię, tato, tu jest super - powiedział błagalnie Mark.
 - Jeszcze tylko parę dni. Evie też chce zostać, prawda?
 - Przykro mi, ale ja też już muszę wracać, ale może...?
 - Wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Hope.
 - A może zostawicie mi na trochę Marka? Będę wtedy pewna, że wrócicie - powiedziała Hope.
 - Zgoda - kiwnął głową Justin, a kiedy jego syn odtańczył taniec radości, dodał: - Przyjadę po niego we wrześniu.
 - I przywieziesz z sobą Evie. - Pogroziła palcem. - Wtedy omówimy sprawę waszego ślubu.
 - Porozmawiamy o tym innym razem.
 - Oczywiście, synku. Wiem, że jestem nie do zniesienia. Każdemu chcę zaplanować życie, ale pragnę tylko waszego szczęścia.
 - Cmoknęła Evie w policzek. - Mój Boże, tylu mam synów, ale wreszcie doczekam się synowej. Przynajmniej Justin...
 - Mamo! - upomniał ją Primo. - Znowu zaczynasz.
- Wszyscy oprócz Justina serdecznie się roześmiali, ale on był myślami całkiem gdzie indziej.
- Na lotnisko odprowadziła ich cała rodzina.

Hope, przytulając Evie na pożegnanie, powiedziała ciepło:

- Do zobaczenia już wkrótce, moja najdroższa córeczko... Z lotniska odebrał ich kierowca.

- Myślisz, że może mnie podrzucić, czy mam zamówić taksówkę.

- Evie, daj spokój - powiedział Justin niemal z irytacją. - Nie jedziesz do mnie? Oczywiście, jeśli tego chcesz - dodał po chwili.

- Żebym to ja wiedziała, co ci chodzi po głowie...

- Wreszcie chciałbym być tylko z tobą.

Lily z uśmiechem otworzyła im drzwi.

- Jak to dobrze, że już jesteście. Zrobiło się późno. Przygotowałam pokój dla panny Evie i zimną kolację na dole. A teraz, jeśli pozwolicie, pójdę już spać.

- Dziękuję i dobranoc, Lily.

Długo czekali na tę chwilę, kiedy zostaną sami. Justin pchnął Evie na łóżko i całując ją, zdejmował z niej ubranie, a ona w pośpiechu rozpiniała mu guziki koszuli. Przez moment poczuli się tak, jakby w ogóle nic się nie zmieniło, jakby wciąż jeszcze byli w domku nad morzem. Wkrótce potem spali w objęciach zmęczenia, ale bezgranicznie szczęśliwi.

Evie otworzyła oczy. Poczowała głód i przypomniało się jej, że zapomnieli zjeść kolację. Uśmiechnęła się do siebie i chciała powiedzieć o tym Justinowi, ale nie znalazła go obok siebie. Stał przy oknie i wpatrywał się w nią z taką intensywnością, że aż się przestraszyła.

- Stało się coś? - zapytała cicho.

- Obudziłem się w okropnym nastroju. Wiedziałem, że to kiedyś przyjdzie...

- Jesteś wyczerpany, masz wiele do przemyślenia. To minie, Justin.

- Chciałbym w to wierzyć, ale odkąd po raz pierwszy zobaczyłem matkę, czekałem, że obudzą się we mnie jakieś uczucia. Myślałem cały czas, że wróciłem do domu, że to dobre zakończenie. Wiem już, kim jestem i gdzie przynależę. Czekałem na eksplozję radości, szczęścia, ale nic takiego nie nadeszło. Nic, zupełnie nic - powiedział zdesperowany.

- Kochanie, widocznie za wcześnie na radość. To musi potrwać. Dotąd wiodłeś inne życie, przez lata stałeś się...

- Szorstki, podejrzliwy i nieufny.

- Nieprawda! Jest w tobie mnóstwo uczuć, wiem o tym. I obiecuję, choćby w twojej głowie zagnieździły się najgorsze demony, wyrzucę je z ciebie. Kocham cię i nie zamierzam się poddać.

- Chciałbym, żeby tak było. Ale nie powinienem był przywozić cię tutaj i kochać się z tobą. Wybacz mi, moim jedynym wytłumaczeniem jest nadzieja, że taki się nie urodziłem. Tyle mam sobie do wyrzucenia... Powinienem był porozmawiać z tobą o tym, co dla mnie jest oczywiste, choć Bóg mi świadkiem, że nie chcę się z tym zmierzyć...

- O co chodzi? - spytała z rosnącym niepokojem. - Z czym nie chcesz się zmierzyć?

- Z tym, że nic nie będzie z naszego związku. Ta miłość jest bez szans. Lepiej więc od razu się pożegnać, póki nie jest jeszcze za późno.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Evie przeczuwała, że kiedyś nadejdzie ten moment. W Neapolu pod maską radości i satysfakcji zaczęło dziać się z Justinem coś złego. Czowała to przez skórę, a teraz złe emocje wypełzły na światło dzienne. Problem jednak polegał na tym, że Justin stał się już dla niej wszystkim, całym życiem.

- Kto tak twierdzi? Ty?

- Ja. Nic na to nie poradzę, że nie potrafię siebie zmienić. Nie kto inny jak ty mi to uświadomiłaś.

- Ja? Kiedy?

- Kiedy wróciłaś z przejażdżki z Ruggierem, a ja próbowałem wymusić na tobie obietnicę, że nigdy więcej tego nie zrobisz. Powiedziałaś mi, żebym przestał cię kontrolować.

- Miałaś wtedy straszny wyraz twarzy, jakbym powiedziała coś okropnego.

- Bo tak było. Użyłaś słów mojej żony, Margaret. W stosunku do niej też byłem zaborczy, chciałem mieć nad nią pełną kontrolę.

- Ale tylko dlatego, że bałeś się ją stracić. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- Owszem, ale ta świadomość mi w niczym nie pomaga. Nie potrafiłem z tym skończyć, mimo że dobrze wiedziałem, czym to pachnie. Kiedy zauważyłem, że Margaret zaczyna mnie nienawidzić, tylko wzmogło to moją wściekłość. Im bardziej wygasało jej uczucie do mnie, tym silniej chciałem ją do niego zmusić. Przegrałem tę bitwę, bo żadna kobieta nie może kochać tyrana.

- Nie mów tak o sobie! - krzyknęła przerażona.

- Ale to prawda! Taki właśnie jestem i nie umiem tego zmienić.

- Umiesz, ponieważ teraz masz mnie!

Podszedł do niej i ujął jej twarz w dłonie.

- Evie, powtarzałem to sobie tysiące razy. Nie mogę na to pozwolić, żebyś się ze mną związała. Tak bardzo kochałem Margaret, a mimo to ją zniszczyłem, posłałem na śmierć. Nie chcę ryzykować, że to samo spotka także ciebie.

- To tylko słowa. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Wiem, że mamy problemy, ale poradzimy sobie z nimi.

Przywarła do niego i zaczęła go namiętnie całować, wkładając w to całą swoją miłość. Wiedziała, że choć zawładnęła jego sercem i ciałem, umysł Justina wciąż prowadził z nią walkę. Nigdy nie będzie należał do niej bez reszty.

- Proszę, przestań! - Wyrwał się z jej objęć, jakby czytał w jej myślach.

- Nie zniszczysz mnie, jestem silna - powiedziała z uporem.

- Zgoda, może jesteś dość silna, by ze mną walczyć, ale czy tego właśnie pragniesz? Margaret też ze mną walczyła, aż wreszcie została nam tylko walka. Wierz mi, muszę zabić tę miłość.

- Dlaczego?

- Bo tego nauczyło mnie życie. Jeśli ja tego nie zrobię, to miłość zabije mnie, kiedy mnie zostawisz. Jestem tchórzem, musisz się z tym pogodzić.

- To nieprawda! Gdybyś był tchórzem, nie odważyłbyś się po tylu latach zobaczyć matki.

- To nie moja zasługa, tylko twoja. Bez ciebie nie kiwnąłbym nawet palcem, tylko jeszcze mocniej zatrzaskałbym się w swojej celi. Opowiem ci o niej. Może wtedy zrozumiesz, czego powinnaś się bać. Mieszkałem w niej, kiedy się poznaliśmy. Jest mała, bo tylko wtedy mogę mieć pod kontrolą wszystko, co się w niej dzieje. Są w niej dwa wąskie okienka, ale zbyt wąskie, żeby mógł się przecisnąć przez nie ktoś z zewnątrz...

- Przestań! Słyszysz?! - Zatkąła sobie uszy.

- Musisz tego wysłuchać. - Chwycił ją za rękę.

- Nie chcę słyszeć o żadnej celi! Już jej nie ma, rozumiesz?

- Był moment, kiedy też tak myślałem, ale nawet tobie się nie udało.

- Nie wierzę, że w tak głupi sposób chcesz rozwalić to, co jest między nami. Dostaliśmy od życia wspaniały dar, a ty go niszczysz!

- Ponieważ potwór, którego w sobie noszę, inaczej nie potrafi! Ale nigdy do tego nie dopuszczę, żebyś i ty znalazła się w tej klatce.

- A co z Markiem?
- Znalazł już to, co mu potrzebne do życia. Rodzinę. Stało się tak dzięki tobie i zawsze będę ci za to wdzięczny.
- Więc co powinnam twoim zdaniem teraz zrobić? Wzruszyć ramionami i odejść?
- W klatce nie ma żadnych uczuć.
- Nie wmawiaj mi, że jesteś ich pozbawiony. Sądzisz, że kobieta nie wie, kiedy mężczyzna ją kocha? Nie można tak po prostu odrzucić tych cudownych chwil i udawać, że nic się nie stało.
- To były piękne chwile, ale nie bądźmy tacy sentymentalni - stwierdził szorstko.
- Nie udawaj, że jesteś cały z lodu.
- Dopiero teraz to zauważyłaś? Czas, żebyś odkryła, jaki jestem naprawdę.
- Nie próbuj mnie przestraszyć.
- Już się przestraszyłaś. Odejdź ode mnie, Evie. Ranię każdego, kogo tknę. Może gdybyśmy spotkali się wcześniej... Ale teraz jest już za późno.
- Nie wierzę ci.
- Nie wierzysz, że mogę planować nasze rozstanie, robiąc jednocześnie coś takiego... - Pchnął ją łóżko i przywarł do niej całym ciałem. A potem zaczął ją namiętnie całować.

Evie odpowiedziała mu równie gorącymi, pełnymi oddania pocałunkami. Musiał przecież wiedzieć, że ją kocha. Postanowiła, że wygra tę grę. To mogła być ich ostatnia szansa. Z każdą gorączkową

pięszczętą czuła, że zwycięstwo jest coraz bliżej. Może i nie potrafił mówić o miłości, ale potrafił kochać bez granic i bez zahamowań, do szaleństwa. Miłość, którą teraz mu ofiarowała, była obietnicą jej duszy. Musi ją poczuć i odpowiedzieć tym samym. Musi!

Lecz stało się inaczej. Kochał ją z dziką pasją, ale jednocześnie tak, jakby chciał ją siłą od siebie oderwać. Niespodziewanie dla samej siebie zrozumiała, że nie ma w tej bitwie zwycięzcy. Po prostu wszystko się skończyło. Leżeli zmęczeni obok siebie i nagle usłyszała, że Justin płacze. Zapłakała razem z nim.

Już raz tak było. Obiecujący związek urwał się nagle, a ona została wolnym strzelcem. Tamtego dnia poczuła oprócz smutku ulgę, bo obawiała się długotrwałych związków. Ale teraz było całkiem inaczej. Czuła się, jakby wpadła w czarną dziurę. Pokochała Justina wielką miłością i pragnęła oddać mu się bez reszty. Kochać go i być z nim - to stało się celem jej życia. Dla niego gotowa była zrezygnować nawet ze swojej wolności. Czasem próbowała wzbudzić w sobie nienawiść, przywołując do pamięci bolesne słowa, które padły z jego ust. Ale bezskutecznie. Należała już do niego na dobre i na złe i nie wiedziała, jak to zmienić.

Nim opuściła dom Justina, zwróciła mu diamentowy naszyjnik i kolczyki od Hope.

- Gdy mi je dawała - powiedziała cicho - sądziła, że zostanę jej synową, ale w tej sytuacji nie mogę przyjąć takiego prezentu.

Mark dopytywał się w mailach, kiedy ich odwiedzi. Nie mógł uwierzyć, że między nią a ojcem wszystko się skończyło. Sama zresztą też nie potrafiła się z tym pogodzić.

Napisała list z podziękowaniami do Hope za gościnne przyjęcie. Wyjaśniła też sprawę z diamentami.

„Wybacz, Hope, w tej sytuacji nie mogę ich zatrzymać, ale zawsze będę cię ciepło wspominać”.

Wkrótce dostała odpowiedź.

„Chyba oboje postradaliście zmysły. Nie chcę żadnych diamentów, tylko synowej, którą pokochałam. Chcę wesela i wnuków. I to niekoniecznie w takiej kolejności, nie jestem pruderyjna. Schowałam kosztowności do czasu, aż oboje odzyskacie rozsądek.”

Evie rozczulił ten ciepły list, choć pobrzmiwało w nim rozgoryczenie. Hope nie lubiła, gdy życie ignorowało jej pragnienia.

Zrobiło się zimniej, powoli zbliżały się święta. Mark napisał, że wybierają się z tatą na Boże Narodzenie do Włoch. Sama dostała zaproszenie od Debry, ale jakoś udało jej się wykręcić. Zamieszanie i hałas przerastały jej obecne możliwości. Siedziała więc zamknięta na głucho w swoim mieszkaniu i pracowała aż do całkowitego wyczerpania. W ten sposób spełniły się słowa Debry sprzed kilku miesięcy. Cóż, połknęła przynętę i zakochała się w facecie, którego nie mogła mieć. „To będzie dla ciebie nowe doświadczenie”, żartowała wtedy Debra, ale teraz wcale nie brzmiało to śmieszne.

Był luty. Pewnego mroźnego poranka zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Mark, to ty? - zdziwiła się Evie.

- Mogę wejść?

- Oczywiście, bardzo proszę. - Był sam.

Ależ te dzieci się rozwijają, pomyślała z zadumą. Mark zaczął przeobrażać się w młodego mężczyznę. W ciągu pół roku zmienił się nie do poznania i bardzo urósł.

Usiedli w kuchni, przyrządziła mu kanapkę.

- Cieszę się, że masz apetyt. Zjesz też kawałek szarlotki? Mark pokiwał głową i sięgnął po ciasto.

- Skąd znałeś mój adres? - spytała w końcu.

- Był na paczuszce z dyskieta, którą mi oddałaś w szkole, pamiętasz? Przechowałem go, tak na wszelki wypadek.

- Jesteś tak samo pragmatyczny jak twój ojciec. - Wzmianka o Justinie sprawiła jej niebezpieczną przyjemność. - Ale powiedz, co tam u ciebie? Jak minęły święta?

- Super! Babcia była jak zwykle miła, choć miałem nadzieję, że ty też przyjedziesz. Myślałem, że może zrobisz nam niespodziankę...

- Mark, kochanie, to niemożliwe. Twój ojciec i ja nie jesteśmy już razem.

- Ale moglibyście...

- Nie, nie należę już do jego życia.

- Ale mojego, tak! - powiedział z uporem. - Dlatego chciałem cię poprosić... żebyś przyszła na pogrzeb.

- Pogrzeb?! Mój Boże, kto...

- Chodzi o pogrzeb mojej mamy. Ojciec sprowadził jej prochy do Anglii, bo wreszcie powiedziałem mu, że chciałbym mieć ją bliżej, na moim cmentarzu...

- To niesamowite! Stanie się więc tak, jak chciałeś.

- Od początku tego bardzo pragnąłem, ale nie umiałem powiedzieć ojcu. Uważał, że to nie ma żadnego znaczenia. Ale wiele się zmieniło od tamtego czasu, Evie. On rozumie teraz to wszystko, czego wcześniej zupełnie nie rozumiał.

Poczuła się szczęśliwa. To ona swoją miłością sprawiła, że Justin się zmienił, że otworzył się przed synem.

- Pogrzeb ma być pojutrze. Przyjdiesz? Evie ciężko westchnęła.

- Mark, nie mogę, naprawdę nie mogę.

- Ale musisz! To był przecież twój pomysł!

- Może i coś kiedyś powiedziałam, ale to decyzja twojego taty.

- Ty go do tego nakłoniłaś, tylko ciebie słuchał, choć udawał, że to nieprawda.

Powinna mu odmówić, ale nie potrafiła, szczególnie że poczuła w sobie wielką tęsknotę za Justinem.

- Tam będzie rodzina twojej matki. Mogą sobie nie życzyć mojej obecności.

- Nie będzie nikogo, bo nikogo nie miała, tylko tata, ja i ty.

Chciało jej się płakać, gdy uświadomiła sobie, jak bardzo pragnie powiedzieć „tak”. I to tylko po to, by znów, choć na chwilę, zobaczyć

Justina i zamienić z nim kilka słów. To wspaniałe i przerażające zarazem.

- On nadal nosi twoje zdjęcie - powiedział cicho Mark.

- Jakie zdjęcie?

- Jedno z tych dwóch, które ci zrobiłem, kiedy przyszedł do nas.

Wyciął twoją twarz i pomniejszył na komputerze.

- Pokazał ci je?

- Oczywiście, że nie, ale znalazłem to w moim komputerze. A gdy poszperałem w jego portfelu... było tam.

- Mark, nie powinieneś zaglądać do portfela ojca.

- Więc jak mam ustalać fakty?

- Nie mydl mi tu oczu twoją pasją detektywistyczną - powiedziała z uśmiechem, a zarazem wytarła z kącików oczu łzy. Więc nosił w portfelu jej zdjęcie i słuchał jej rad...

- Powiedziałeś ojcu, że idziesz do mnie?

Mark potrząsnął głową, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, zadzwoniła jego komórka.

- Cześć tato, wszystko w porządku. Wcale nie zniknąłem, jestem u Evie. Tato? Jesteś tam? Powiedziałem jej o mamie i poprosiłem, żeby przyszła na pogrzeb.

- Mogę z nim porozmawiać? - Wzięła telefon od Marka. - Justin? - Nawet to jedno słowo poruszyło ją do głębi.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że Mark jest bezpieczny. Niedługo wróci do domu, więc się nie martw.

- Nie martwię się, jeśli jest z tobą, ale przykro mi, że zawraca ci głowę.

- Nie zawraca... Tak bardzo się cieszę z powodu jego matki.

- Powiedział mi, że kiedyś rozmawiał z tobą na ten temat. Sam powinienem był cię zaprosić.

- Na pogrzeb? To chyba nie jest dobry pomysł.

- Evie, on bardzo tego pragnie, ale zrozumieć, jeśli odmówisz.

- Więc przyjdę. Myślałam, że nie chcesz mnie widzieć. Na moment zapadła cisza.

- On bardzo za tobą tęskni. To będzie dla niego wiele znaczyło.

Pragnęła, aby powiedział, że i on za nią tęskni, ale znów zapadła cisza.

- Przyślę kierowcę po Marka, niech zaczeka u ciebie. Dziękuję za opiekę nad nim. Dobranoc.

- Dobranoc, Justin...

To boli, pomyślała. Rozmawiamy z sobą jak obcy ludzie...

- Cieszę się, że przyjdiesz - powiedział Mark, gdy się rozłączyła. - Tata był zły? - zapytał, widząc jej smutek.

- Nie, był tylko trochę... nijaki. - Tylko takim słowem potrafiła opisać pustkę, jaką poczuła po rozmowie z Justinem. Przez telefon wszystko brzmi zawsze inaczej. Kiedy się zobaczymy, będzie lepiej, pomyślała. - Opowiedz mi coś jeszcze o świętach, skoro mamy trochę czasu. Nie było za spokojnie? Włosi chyba nie świętują Gwiazdki tak hucznie jak my. Z tego co wiem, czekają z prezentami aż do Trzech Króli.

- Niby się zgadza, ale babcia zarządziła, że skoro jestem Anglikiem, to muszę dostać prezenty tak jak w Anglii, na Gwiazdkę, a potem jeszcze drugi raz na Trzech Króli, tak jak wszyscy. Próbowałem wytłumaczyć, że prezent na Wigilię całkowicie mi wystarczy, ale powiedziała, że nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia. Poza tym nauczyłem się mnóstwa neapolitańskich słów. Nawet je dla ciebie spisałem.

Wtedy rozległ się dzwonek do drzwi, oznajmiający, że po Marka przyjechał szofer. Umówili się więc jeszcze na telefon przed pogrzebem Margaret i chłopiec zbiegł na dół.

Evie starała się skupić na pracy, ale tylko bezmyślnie przewracała kartki, aż, rozdrażniona, wskoczyła w końcu na motor i pojechała prosto przed siebie, dokąd ją oczy poniosły. Jechała tak długo, aż się znalazła w całkiem obcym dla siebie miejscu. Cóż za analogia, pomyślała, zupełnie jak w moim obecnym życiu.

Wreszcie nadszedł dzień pogrzebu. Evie włożyła ciemny, prosty kostium i przejrzała się w lustrze. Wyglądała naprawdę dobrze. Starła się zachować spokój, ale nie było to wcale łatwe. W końcu miała po raz pierwszy od miesiący zobaczyć Justina. Obudziła się w niej nadzieja, że skoro nosi jej zdjęcie w portfelu, może jednak będzie w stanie spojrzeć na ich związek inaczej.

Kierowca przyjechał po nią punktualnie. Gdy dotarli na cmentarz, przypomniała sobie ów piękny dzień na początku lata, kiedy przyszła tu po raz pierwszy. Dziś było zimno, mokro i ponuro.

Mark powitał ją w bramie.

- Dziękuję ci, że jesteś. - Wziął ją za rękę.

Weszli do pustego kościoła. Faktycznie byli tu tylko we trójkę. Justin stał w pierwszej ławce. Gdy podeszli do niego, odwrócił się, żeby się przywitać. Z trudem go poznała. Postarzał się w ciągu tych kilku miesięcy i wychudł. Ale nie to było najgorsze, lecz wyraz jego twarzy, przerażająco twardy i zacięty.

- Witaj - powiedziała ciepło.

Miała wrażenie, że musi się najpierw pozbierać w sobie, jakby nie do końca był pewien, kim ona jest.

- Dziękuję ci, że przyszedłeś. - Uprzejmie skinął głową. - To ważne dla Marka.

- Chciał, żebym tu była.

Z zakrystii wyszedł ksiądz i zapytał, czy mogą już zaczynać. Justin dał znak, że tak, i spojrzał na syna. Chłopiec stanął tuż obok ojca, ale cały czas kurczowo ścisnął rękę Evie.

Uroczystość nie trwała długo. Evie zastanawiała się, o czym teraz myśli Justin. Czy znowu ma w sercu swoją byłą żonę, czy też zostało tam trochę miejsca dla niej? Dobrze pamiętała o jego wielkiej miłości do Margaret, a także o tym, że to wielkie uczucie zmieniło się potem w nienawiść.

Ruszyli za trumną w kierunku grobu. Leżały na niej dwa duże bukiety białych róż, do których doczepione były wstęgi. Na jednej z nich widniał napis wykonany dziecięcą ręką:

„Dla mamusi, z miłością na zawsze”

Na drugiej wstędze umieszczony został napis Justina:

„Dziękuję ci”

Kiedy zakończyła się ceremonia, Mark uściskał Evie, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że wreszcie wszystko dopełniło się tak, jak powinno. Za to twarz Justina była jak wyciosana z kamienia, kompletnie bez wyrazu.

To wszystko wydało się nagle Evie całkiem nierealne. Jakie to niepojęte! Stoi tak blisko niego i serce wali jej jak oszalałe, jakby nie dzieliło ich wcale wielomiesięczne rozstanie.

Zauważyła, że przygląda się jej, więc spojrzała mu w oczy.

- Naprawdę cieszysz się, że przyszedłam, nie tylko ze względu na Marka?

- Tak, cieszę się, że cię widzę - odparł po dłuższym namyśle. - Zastanawiałem się, co u ciebie słyszeć.

- To miło. A ja zastanawiałam się, co u ciebie.

- Jak widzisz, wszystko w porządku.

Nieprawda, pomyślała. Taką spiętą, kamienną twarz miał tylko wtedy, gdy zobaczyli się po raz pierwszy.

- Widziałeś się z rodziną?

- Mamy stałe zaproszenie do Neapolu, możemy jeździć tam tak często, jak nam się tylko podoba. Między Hope i mną również wszystko dobrze się układa.

- Cieszę się... - A już miała nadzieję, że na zawsze zniknął ten okropny wyraz jego oczu. Niestety wszystko wróciło do normy i pewnie już tak zostanie.

- Tobie to zawdzięczam i nigdy tego nie zapomnę.

Co z tego, przemknęło jej przez myśl, skoro na końcu okazało się, że już niczego nie mogę dla ciebie zrobić.

- A co u ciebie? Jeździłaś do Włoch?

- Nie miałam czasu, mam mnóstwo pracy.

- Cieszę się, że wspinasz się po szczeblach kariery.

- Dziękuję, jest dobrze. - Tak naprawdę szukała sobie zajęć, żeby wypełnić czas, lecz jak miała mu o tym powiedzieć? Łudziła się, że to spotkanie coś zmieni, ale wszystko było już jasne. Justin nie chciał jej widzieć.

- Kierowca odwiezie cię do domu, jeżeli chcesz już wracać - powiedział w końcu. - Mam nadzieję, że nie zabraliśmy ci zbyt wiele czasu.

Poczuła, jak zaciska jej się gardło. W najgorszych chwilach trzymała się kurczowo nadziei, że kiedyś jeszcze się spotkają i że wszystko będzie znowu jak dawniej. A teraz, gdy stał tak blisko niej, wiedziała, że oto nastał ostateczny kres wspólnej drogi. Nie potrafili już z sobą rozmawiać.

- No cóż - powiedziała, z trudem cedząc słowa - w takim razie czas na mnie. Miło było cię zobaczyć. Powodzenia, Justin.

Przez krótką chwilę dostrzegła na jego twarzy ból.

- Dobrze się czujesz, Evie? - spytał szorstko.

- Nie, a ty?

- Ale nie potrafię inaczej. Do widzenia - wyszeptał.

- Żegnaj, mój kochany. - Delikatnie dotknęła jego policzka. - Żegnaj.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Powoli zaczynała zatracać poczucie czasu. Kolejne dni prawie się od siebie nie różniły. Czasami zdawało jej się, że tłumaczy wciąż tę samą książkę. Godzinami siedziała przed komputerem, potem szła spać, wstawała rano, kawa, zimny prysznic, komputer... Zabijała czas, żeby nie myśleć i nie czekać na to, co nigdy nie nastąpi.

Mark wciąż pisywał do niej maile. Często bywał u babci w Neapolu, bo Justin był wciąż bardzo zajęty. Przyszło jej do głowy, że tak samo jak ona, rzucił się w wir pracy, by stłumić w sobie wszelkie uczucia. Odpisywała Markowi, ale bardzo ostrożnie, żeby się przypadkiem nie zdradzić, że wciąż jeszcze tęskni za jego ojcem. Dlaczego musiał tak brutalnie zniszczyć ich miłość? Otuchy dodawało jej tylko jedno jedyne zdanie, które Mark dołączał zawsze do swojego maila: „Tata z nikim się nie spotyka”.

Wiosną pojechała do domku nad morzem, choć miała obawy, jak to zniesie. Przecież byli tam razem i tam pokochała Justina. Postanowiła, że zrobi remont. Nie należało z tym już dłużej zwlekać.

Dom był wyziębiony i przygnębiająco pusty. Natychmiast wróciły wspomnienia. Jak mogła w ogóle pomyśleć, że będzie w stanie mieszkać tu bez Justina.

Lecz jeszcze trudniej byłoby jej na zawsze opuścić to miejsce. Tu przecież pokochali się i to uczucie pozostanie w tych ścianach na wieki.

Codziennie chodziła nad morze. Kąpiele w chłodnej wodzie i długie spacery dobrze jej robiły. Zmęczona fizycznie, wreszcie zaczęła lepiej sypiać.

Pewnego ranka wstała wcześniej i wypłynęła dalej w morze niż zwykle. Gdy poczuła silny prąd, uznała, że rozsądniej będzie już wracać, ale mimo że z całych sił starała się dopłynąć do brzegu, zamiast zbliżyć się do niego, jeszcze bardziej się oddalała.

Była już strasznie wyczerpana, nogi i ręce odmawiały posłuszeństwa, traciła zdolność racjonalnej oceny sytuacji. Pomyślała, że miło by było poddać się nurtowi fal i usnąć. Przypomniało jej się, jak kiedyś, zanim jeszcze zerwał z nią Andrew, wypłynęła daleko w morze i Justin ją dogonił, chwycił w pól i chciał zaholować do brzegu. Miała wtedy na sobie bikini i bardzo się tym speszył, a ona zaczęła się śmiać. Wyśliznęła mu się z uścisku i popłynęła o własnych siłach. Dlaczego już wtedy nie potrafiła dostrzec całej prawdy?

- Evie! Evie!

Zdawało jej się, że dobiega ją czyjś głos. Z nieba, z morza albo... nie wiedziała skąd. Był wszędzie wokół niej. Próbowwała się skoncentrować i po chwili zrozumiała, że ktoś woła do niej z brzegu. Jakaś elegancka kobieta krzyczała i machała do niej rękami. Hope? Ona, tutaj? Wydało jej się to niemożliwe, ale z nową energią zaczęła przecinać fale i płynąć w jej kierunku. Walka była ostra, a gdy znalazła się na płytkiej wodzie, pomocne ręce wyciągnęły ją na piasek.

- Widzę, że z tobą jest równie źle jak z nim - powiedziała zadyszana Hope.

Później, gdy siedziała ciepło ubrana obok Hope, zdała sobie sprawę, że ich spotkanie było nieuniknione. Hope nigdy nie pozostawiała spraw własnemu biegowi.

- Jesteś na mnie zła, że przyjechałam? - spytała, gdy jadły przy stole pyszny obiad przyrządzony przez Hope.

- Nie, dlaczego. Bardzo się cieszę, że cię widzę. A gdzie Mark?

- Mark ma dość opiekunów we Włoszech, a ja przyjechałam do Anglii zobaczyć się z synem. Bardzo mnie teraz potrzebuje. Ty też, jak widzę.

- Daję sobie radę...

- Czyżby? Coś mi podpowiada, że tam, w wodzie, myślałaś o niebezpiecznych sprawach.

- Może, ale tylko przez chwilę. I zaraz się pobieram.

- Jesteś kobietą, my zawsze potrafimy się jakoś pobierać. Ale on... - Hope spojrzała na sterty książek rozłożone na biurku. - Sypiasz czasami?

- Kiedy nie jestem w stanie już nic robić... Widziałaś go? Jak on się czuje?

- Pracuje od rana do nocy, a jego telefon nigdy nie milknie.

- Każdy sobie radzi na swój sposób - powiedziała Evie.

- On obumiera. Żyje z przyzwyczajenia. Prawie zupełnie się rozsypał.

- Nie mów... nie mów już nic więcej - wyszeptała Evie.

- Musisz do niego wrócić, inaczej się wykończy.

- To nie ja go opuściłam, Hope, to on mnie odepchnął. Tego chciał.

- Oczywiście, że nie chciał, tylko myślał, że musi tak zrobić, że tak będzie bezpieczniej. Potrzebuje cię, nie potrafi bez ciebie żyć.

- Ale myśli, że potrafi.

- Zignoruj to. Nieważne, co mówi mój syn, udawaj, że nie słyszysz. Musisz do niego wrócić, zrozum, jesteś jego ostatnią szansą. Wcześniej nie mogłam nic dla niego zrobić, ale teraz muszę.

Pokusa była szalona. Tęsknota za Justinem zabijała ją każdego dnia.

- Nie mogę - powiedziała zdesperowana - nie dlatego, że nie chcę. Pragnę tego ponad wszystko...

- Wiem aż nazbyt dobrze, czym jest tęsknota - przerwała jej Hope.

- Tak... Wiem, że wiesz.

- Kiedy miałam piętnaście lat, zakochałam się w pewnym chłopaku. Miał na imię Philip, był o kilka lat starszy, dziki i diabelsko przystojny. Szalały za nim wszystkie dziewczyny. Matka ostrzegała mnie przed nim, mówiła, że to łobuz, bo pochodził z przestępczej rodziny, ale ja zlekceważyłam jej ostrzeżenia. Byłam dumna, kiedy wybrał właśnie mnie, lecz kiedy zaszłam w ciążę, o niczym nie chciał słyszeć. Wkrótce potem wylądował w więzieniu. W tamtych czasach samotne matki nie miały takiej pomocy jak dziś, ale chciałam zatrzymać moje dziecko, bo kochałam Philipa i marzyłam, że jeszcze kiedyś będziemy razem. - Hope westchnęła ciężko. - Gdy tylko

urodziłam mojego synka, powiedziano mi, że jest martwy. Nigdy go nie widziałam na oczy, ale wciąż tęskniłam za nim. Potem, gdy dowiedziałam się prawdy, jeszcze bardziej cierpiałam. Nie mogłam znieść myśli, że żyje gdzieś samotnie i nigdy się nie spotkamy. Wyrzuciłam Jackowi Caymanowi dużą krzywdę, wychodząc za niego bez miłości. Miał już wtedy Prima, a ja sądziłam, że uda mi się zastąpić nim moje utracone dziecko. Jednak, jak się domyślasz, okazało się to niemożliwe, mimo że byliśmy z sobą bardzo związani. Potem zakochałam się we Francu. Był żonaty, więc nie mogliśmy być razem, ale Francesco jest owocem naszej wielkiej miłości.

- A Toni? - zapytała nieśmiało Evie.

- Toni jest moją dojrzałą miłością. - Hope obdarzyła ją ciepłym uśmiechem. - Kiedy przyjechaliście w zeszłym roku do Neapolu, nie posiadałam się wprost ze szczęścia. Mogłam wreszcie do woli nacieszyć się moim synem, ale...

- Ale co? - zapytała Evie, widząc zwątpienie na twarzy Hope.

- Ale zrozumiałam, że dziecko, o którym marzyłam, nie istnieje. Jest twardym mężczyzną o kamiennej twarzy.

- Stał się taki, żeby przetrwać.

- Pewnie tak, ale nie mogłam mówić z nim o uczuciach. Byłby zażenowany. Spędziliśmy więc wiele godzin, rozmawiając o zupełnie nieistotnych sprawach, ale nasze serca pozostały zamknięte. Myślę, że on potrafi otworzyć serce jedynie przed synem i przed tobą. Nie czuje, że jestem jego matką, bo nigdy nie poczuł matczynej troski.

Dopuszcza do siebie ten fakt wyłącznie w sferze rozumowej, dlatego

też zawsze nazywa mnie Hope, nigdy mamą. Chciałabym mu pomóc na tyle, na ile mogę. Opowiedział mi o was, także o tym, dlaczego zerwał z tobą. Nie każda kobieta byłaby w stanie sprostać tej jego ciemnej stronie, ale ty tak, jestem o tym przekonana. Dlatego, błagam, wróć do niego i daj mu jeszcze jedną szansę.

- Ależ Hope...

- Evie, może nie byłam dobrym człowiekiem, wobec wielu ludzi zachowałam się okrutnie i egoistycznie, ale nauczyłam się o mężczyznach wielu rzeczy, może zbyt wielu. Niektórzy z nich rodzą się, by zostać dobrymi mężami, inni kochankami. Potrafię dostrzec tę różnicę, bo dostałam niejedną bolesną lekcję. Mówiłam ci już, że wiem, co to tęsknota. Wiem też, kiedy należy od niej uciec, bo może zniszczyć. Ale tym razem powinnaś się jej poddać. Mówię ci, zrób to, bo inaczej już nigdy nie odzyskasz swojej wolności.

- Jak mogę do niego wrócić wbrew jego woli?

- Nie mówiłabyś tak, gdybyś go dziś widziała. Evie, on tego nie wytrzyma, nie jest tak przywiązany do życia jak ty.

- Ale jak mam to zrobić?

- Posłuchaj głosu swego serca, tylko tyle, i aż tyle. Życie z nim nie będzie łatwe, bo Justin jest trudnym człowiekiem, ale kocha cię ponad wszystko, choć nie potrafi ci o tym powiedzieć. Uwierz mi...

Evie ukryła twarz w dłoniach. Czy nie tego właśnie pragnęła najbardziej w świecie?

- Zaraz ruszam w drogę - powiedziała cicho i pobiegła na górę.

Kiedy jechały do Londynu, z przerażeniem stwierdziła, że wszystko by zrobiła, by być z tym mężczyzną, choć nigdy nie chciała stałego związku. Ale życia bez Justina w ogóle nie potrafiła sobie wyobrazić.

Weszła do środka. W domu panowała kompletna cisza. Zajrzała do wszystkich pokoi, ale nigdzie nie było Justina. Wyszła więc do ogrodu i zobaczyła, jak siedzi na ławce z twarzą ukrytą w dłoniach.

Zacząła biec w jego kierunku. Podniósł się, ale nie był w stanie zrobić ani kroku. Tak strasznie się bała, że odwróci się i odejdzie. W końcu jednak otworzył ramiona, a zaraz potem zamknął je wokół niej w pełnym miłości uścisku.

- Odejdź, Evie - szeptał, tuląc ją do siebie i całując. - Odejdź, nie rób tego.

- Nie ma mowy, nie opędzisz się już ode mnie. Zostaję, czy ci się to podoba, czy nie. Zostaję, rozumiesz?

- Złamię ci serce...

- Złamane serce można jakoś wyleczyć, ale jeżeli teraz odejdę, serce mi pęknie z rozpacz i nie da się go już nigdy skleić.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zamknęła mu usta pocałunkami. A były tak gorące i żarliwe, że zaczynał powoli rozumieć, co Evie ma na myśli. Od tej chwili to ona przejęła ster i już nie do niego należała decyzja.

- Mam zamiar tu zostać, rozumiesz? Nie chcę więcej słyszeć o żadnym rozstaniu. I chcę, byśmy wzięli ślub...

- Ale ślub oznacza związek na całe życie, a tego przecież nigdy nie chciałaś.

- Pozwól, że sama będę się o to martwić.

- Nie zapominaj, że będę nie tylko zazdrosny, wymagający i zaborczy, ale również samolubny i nierozsądny, a mimo to nie pozwolę ci odejść.

- Jak będziesz nieznośny, to wskoczę na motor - powiedziała ze śmiechem.

- Evie, ostrzegam cię, zostaw mnie, dopóki nie jest za późno.

- Od dawna jest już za późno, ale na miłość nic nie można poradzić. - Poglądziła go po policzku i pocałowała czule.

Uszczęśliwiony Justin oparł głowę na jej ramieniu, a gdy ją uniósł, zobaczył matkę.

- Hope... czy to ty...? - Urwał w pół zdania, bo nagle wszystko stało się jasne. - Tak bardzo ci za to dziękuję - wyszeptał. - Dziękuję ci... mamó. - Ostatnie słowo wymówił tak cicho, że prawie go nie było słychać.

- Wszystko będzie dobrze, syneczku - powiedziała Hope i rzuciła im ciepłe spojrzenie.

Po chwili zniknęła wśród drzew. Wiedziała już, że sobie bez niej poradzą. Teraz miała na głowie zupełnie inne sprawy. Musiała przecież zaplanować wesele.

Evie i Justin, spleceni w miłosnym uścisku, nawet nie zauważyli, kiedy odeszła. Oboje byli bardzo wyczerpani tą trudną, pełną zwątpień i goryczy drogą. Na szczęście wszystko, co złe, pozostało za

nimi. Wreszcie nadszedł czas, kiedy mogli wspólnie cieszyć się i świętować. Bo przecież odtąd mieli iść już zawsze razem, ramię w ramię, i nie oglądać się za siebie.

RS